Nr. 2. Kraków, w lutym 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

MODLITWA PIELGRZYMA.

Panie Boże Wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalń sybiryjskich, i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algieru, i z Francyi ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów, Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam, modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie, nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

Adam Mickiewicz.

Litania pielgrzymska.

Kyrye elejson, Chryste elejson.
Boże Ojcze, któryś wywiódł lud Twój z niewoli egipskiej i wrócił do ziemi świętej.
Wróć nas do Ojczyzny naszej.
Synu Zbawicielu, któryś umęczony i ukrzyżowany zmartwychwstał i królujesz w chwale,
Zbudź z martwych Ojczyznę naszą.
Matko Boska, którą Ojcowie nasi nazywali królową Polski i Litwy,
Zbaw Polskę i Litwę.
Święty Stanisławie, opiekunie Polski,
Módl się za nami.
Święty Kazimierzu, opiekunie Litwy,
Módl się za nami.
Święty Józefacie, opiekunie Rusi,
Módl się za nami.
Wszyscy święci opiekunowie Rzeczypospolitej naszej,
Módlcie się za nami.
Od niewoli pruskiej, moskiewskiej i...
Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich, poległych za wiarę i wolność,
Wybaw nas Panie.
Przez męczeństwo młodzieńców Litwy, zabitych kijami, zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,
Wybaw nas Panie.
Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrżniętych w kościołach Pańskich i domach,
Wybaw nas Panie.
Przez męczeństwo żołnierzy zamordowanych w Fiszau przez Prusaków,
Wybaw nas Panie.
Przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kronsztadzie przez Moskali,
Wybaw nas Panie.
Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich,
Wybaw nas Panie.
O wojnę powszechną za wolność ludów,
Prosimy Cię Panie.
O broń i orły narodowe,
Prosimy Cię Panie.
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy,
Prosimy Cię Panie.
O grób dla kości naszych w ziemi naszej,
Prosimy Cię Panie.
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej,
Prosimy Cię Panie.
W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Adam Mickiewicz.

Rocznica powstania styczniowego.

W styczniu obchodziliśmy pamiątkę powstania w roku 1863 — jak ją obchodził lud w Tarnobrzeskiem opiszemy później. Powstanie jak wiecie już drogie Czytelniczki, wybuchło 22 stycznia. Młodzież polska w Warszawie przed branką do wojska wyszła w lasy — w zimie i bez grosza, bez obuwia i odzieży — „z kijami na bagnety, z bagnetami na działa“.

Pierwszą potyczkę z Moskwą stoczył Leon Frankowski. Walka ta nierównych sił, gdzie jeden stawał przeciw dziesięciu a często i dwudziestu, trwała do czerwca 1864, a więc półtora roku!

Tysiące kwiatu młodzieży z pod trzech zaborów legło bohaterską śmiercią na polu chwały, setki skończyły żywot pełen zasług na szubienicach, dziesiątki tysięcy zapełniły Sybir, katorgę i aresztanckie roty, a ileż poszło w tułaczkę

Odarł nas wróg z mienia, grabiąc prywatną własność, postanowił zrujnować cały kraj — usunął z wszystkich posad, ale nie zabił ducha, który w nas żyje. Krzepmy się nadzieją lepszej przyszłości. Aby ta lepsza przyszłość prędzej dla nas zajaśniała, od nas drogie Siostry i Bracia zależy, od nas Polek i Polaków, którzy Polskę naszą serdecznie miłujemy. Czemprędzej weźmy się do pracy nad zdobywaniem sobie pracą i mozołem piędź za piędzią tej ziemi ukochanej i czem prędzej brońmy jej przed zaborem wrogów, którzy na nią czyhają — czemprędzej zamiast uciekać do Saksów, za morza, do obczyzny — weźmy się do pracy około roli, rzemiosła, handlu. Im prędzej uznamy się za Córy i Synów tej Ojczyzny naszej a dziatki nasze wychowywać będziemy w bojaźni Bożej, w miłości Ojczyzny na dzielnych „Bartoszów Głowackich“, Jadwigi i Wandy, tem prędzej zdobędziemy wolność i niezależność, i z czystem sercem i sumieniem przyznamy sobie, że dla wyswobodzenia Ojczyzny naszej, dla wolności swojej działaliśmy, bo dziś nie walką z orężem w ręce — ale pracą i to wytrwałą pracą walczyć powinniśmy.

A więc do pracy z modlitwą „Pielgrzyma polskiego“, jaką każdy Polak znać powinien — bierzmy się

„Do pracy! razem do pracy!
W ciszy zgodzie dłonią w dłoń.
My bezbronni! więc Rodacy:
Praca dziś to nasza broń“.

Karta z pamiętnika z przed 37 laty.

Byłam jeszcze bardzo młodziutką, kiedy zostałam sierotą. Wuj mój, zamożny obywatel w Lubelskiem, zawezwał mnie do siebie, ażeby się zająć mym dalszym losem, i polecił starszej swej córce, która była zamężną a bezdzietną, żeby mnie wzięła do siebie. Najstarsza moja siostra odwiozła mnie do granicy, a tam czekały już na mnie konie mej krewnej, której majątek położonym był o 10 mil od granicy jadąc na Siniawę i Tar-

nogród. Gdym już stanęła na tamtej stronie, żal i trwoga ścisnęły mi serce.

Serdeczność, z jaką powitano mnie, ośmieliły mnie, i żal ukoiły. Uczułam, że jestem między swymi, to też zabrałam się zaraz do gospodarstwa domowego, wyręczając we wszystkiem mą opiekunkę. Do mnie należało leczenie i odwiedzanie chorych ludzi na wsi i apteczka domowa. W jesieni, kiedy już wiejskie dzieci przestały paść bydło, urządziłam szkółkę i wiejska dziatwa przychodziła do mnie na naukę. Gromadka moja w pierwszym roku składała się ledwo z 24 dzieci, bo chłopi nie chcieli wierzyć, że się to robi bezinteresownie; z niedowierzaniem na dwór patrzeli, trzeba było dopiero pomału zbliżać ich do siebie, głaskać i poufalić, nim się wzbudziło w nich zaufanie. Miałam wtenczas sposobność przekonania się, ile to pod temi przepalonemi od słońca czuprynami wiejskich pastuszków, mieści się sprytu i zdolności; niektórzy z nich już za 4 miesiące umieli czytać na książeczkach, które dostali od mojej krewnej, w nagrodę za pilne uczęszczanie do szkoły. Miałam wielką przyjemność, widząc jak dziatwa moja, modląc się w kościele na książeczkach, jest podziwiana przez ludzi z innych wsi, bo wtenczas jeszcze po wsiach szkółek nie było, gdyż działo się to roku 1862.

Nadszedł styczeń 1863 roku; Moskale, przeczuwając, że naród zbyt uciśniony, przygotowuje powstanie, nakazali ogromny pobór do wojska, ażeby w ten sposób uniemożliwić wybuch. To jednak przyspieszyło zbrojne powstanie nasze, do którego nie było jeszcze należytego przygotowania. Nie było broni, ani kul i prochu podostatkiem, ani odpowiedniego umundurowania, ale był duch pełen wiary w zwycięztwo. W nocy z 21—22 stycznia wyszło z Warszawy 2000 młodzieży do lasów. W naszej okolicy poustanawiano setników i każdy ze swoją setką napaść miał na przeznaczone mu miasteczko. Tak się też i stało. Księża w kościołach odbierali potajemnie przysięgi od powstańców, lecz pomimo tego, jak przyszło wyjść do lasu, ani w połowie się nie stawili.

Dwóch moich krewnych było takimi setnikami. Jeden miał wyruszyć na Łuków, drugi na Bychowce. Były to małe miasteczka, gdzie nie wiele spodziewano się zastać Moskali. Wyruszył każdy ze swoją garstką, ale jakież to było ich uzbrojenie? Setnicy mieli po dwa pistolety za pasem i dobrą dubeltówkę na ramieniu, ale ci inni? ani połowa z nich nie miała palnej broni, były tam dubeltówki, pojedynki, pistolety, pałasze, kosy, siekiery, łopaty, a wreszcie pałki, czyli dobre kije. Szczęściem, zima w tym roku była bardzo łagodna i bez śniegu, co było korzystnem dla naszych biedaków, bo nie tak łatwo można ich było wyśledzić, chociaż wogóle Moskale bali się wchodzić do lasu, zdawało im się, że za każdym drzewem jest ukryty powstaniec.

Zaczęła też młodzież ze wszystkich stron napływać. Kto tylko miał jaką broń, chciał ją dobrze zużytkować, a wielu i bez broni. z kijem w ręku spieszyło do lasu. Zapał był wielki, i oddziały szybko się mnożyły. Marcin Lelewel, przebywał w lasach sandomierskich, tworzył oddziały, i oddawał je innym dowódcom.

Cały styczeń i luty były bardzo ciepłe, ale w marcu przyszły wiatry mroźne, a „nasi“ biedacy nie mieli ciepłego ubrania, bo wielu z nich w samych surdutach do lasu się wybrało. Rząd narodowy nakazał dworom i miastom, żeby odzież ciepłą, bez różnicy męską czy kobiecą do lasu posyłać; to też jak pierwsze oddziały przyszły do nas, to płakać się chciało, a śmiać musieliśmy się. Jeden miał na sobie czarny aksamitny kaftanik obszyty białem futerkiem, inny miał watowany kaftanik ponsowy w czarne kratki, inny znów płaszczyk szeroki, ozdobiony frędzlami i taśmami o szerokich klapach zamiast rękawów i t. p., sami z siebie śmiali się biedacy, ale duch był wielki i humor doskonały.

Przychodzili zawsze wieczór ażeby zagrzać się ciepłemi potrawami i trochę wygodniej przespać. Byliśmy zawsze przygotowani na ich przyjęcie; spiżarnia zawsze obfitowała w zapasy żywności; kilkadziesiąt bochenków chleba leżało w zapasie, bo albo przychodzili sami, albo trzeba było posyłać do lasu. Zwykle przyjeżdżał ktoś dać znać, że oddział w takiej a w takiej liczbie przyjdzie na noc; brałam zaraz klucze i szłam do spiżarni zarządzić kolacyę. Najczęściej zrazy z kaszą kazałam robić, bo to najpodzielniejsze. Starszyźnie słało się w gościnnych pokojach w oficynie, innym w stajni. Usunąwszy nasze konie, nasłało się słomy, bo tam było najcieplej. Cztery samowary buchały parą, przy których całą noc zwykle stałam, nalewając herbatę; 500—800 szklanek herbaty nieraz przez noc nalałam.

Czas stawał się coraz smutniejszy, are-

sztowania ciągłe, więzienia napełnione po brzegi nieszczęśliwymi, których przy śledztwach okropnie męczono, żeby tylko coś z nich wydobyć. Jedni mężnie znosili tortury, lecz inni, słabego ducha, wyjawiali wszystko, skąd nowe aresztowania, nowe śledztwa i wywożenia na Sybir.

Świąt wielkanocnych nie sprawialiśmy wcale dla siebie, ale napiekło się ogromną ilość bułek i mniej wykwintnych ale smacznych placków, nagotowało się bardzo wiele szynek, kiełbas i jaj; ksiądz przyjechał w wielki piątek, poświęcił to wszystko, a w sobotę rano jedna fura napełniona święconem pojechała do lasu dla powstańców, a druga do Zamościa dla więźniów, a były tam wszystkie kaźnie wypełnione po brzegi, pomiędzy nimi kilku naszych znajomych i krewnych. Wprawdzie ledwo połowa dochodziła tego do rąk więźniów, ale czem więcej się posłało, tym więcej nasi biedacy dostali.

Kobiety miały także wiele do czynienia w czasie powstania; w niektórych dworach obszerniejszych pourządzano szpitale. Na urządzenie tychże, z każdego dworu dostarczyć musiano wszystkiego, co potrzeba dla jednego chorego. Gdy ranni byli w lazarecie, jeździliśmy dozorować ich. Codzień z innego dworu przyjeżdżała obywatelka, a jeżeli rannych było więcej, to i nas po kilka być musiało, bo zajęcia z rannymi było bardzo wiele, szczególnie w czasie upałów. Po dwa razy na dzień robiło się opatrunki, niejednego trzeba było karmić, innych z much opędzać itd.

Prócz tego szyliśmy bieliznę dla powstańców do obozu, ubrania dla kosynierów. Kiedy powstanie było już w całej pełni rozwinięte, ruch był u nas ogromny, bo wioska nasza leżała na tak zwanym „trakcie narodowym". Moskale dobrze wiedzieli, co się w każdym dworze dzieje. Mieli płatnych szpiegów, czy pomiędzy służbą dworską, czy na wsi, między ludem, niewiadomo, ale wiedzieli wszystko. Obawiając się, żeby i chłopi nie wzięli udziału w powstaniu, schlebiali im i dali do rąk wielką władzę. Nakazali im donosić, kto bywa we dworze, jeżeli by powstańcy przyszli, kazali konnym posłańcem dawać sobie znać, w tym celu przed urzędem gminnym w każdej wsi, był wkopany wysoki maszt, owinięty słomą i oblany smołą, jak powstańcy do wsi przychodzili, chłopi mieli rozkaz zapalenia tego słupa. W drugiej wsi, gdy ten ogień zobaczą, toż samo zrobić mieli itd. Był to rodzaj telegrafu. dla prędszego uwiadomienia moskali.

Jacyś nieznani ludzie snuli się po wsiach, przebywając po karczmach, buntując chłopów przeciwko panom, tak, iż obawialiśmy się, że rok 46 się powtórzy, ale do tego nie przyszło. W kilku wsiach chłopi powiązali swych panów, i tak zawieźli do Krasnegostawu. Szczęściem obywatele ci nie byli powstańcami, więc po kilku dniach aresztu uwolniono ich. Chłopom rząd moskiewski wypłacił po 10 rubli za głowę, ale pieniędzy tych nikt wziąść od nich nie chciał, ani żaden kupiec, ani żyd w karczmie, ani ksiądz, któremu chcieli na mszę św. ofiarować; ksiądz powiedział, iż judaszowskich pieniędzy nie przyjmie.

Chłopi powrócili do domów, nie długo przyszedł oddział naszych powstańców, zwany „żandarmeryą wieszającą", i wszystkich tych chłopów powiesili przy drodze. To poskutkowało, bo więcej żaden chłop nie podniósł bratobójczą rękę na pana.

Rannych, których tylu było w naszych szpitalach, przychodzili do zdrowia bardzo prędko i żaden z ran nie umarł. Kiedy moskale przechodzili przez te wsie, w których były szpitale, starszyzna odwiedzała rannych naszych, zachowując się bardzo delikatnie. Odwiedzając raz szpital w sąsiedztwie, byłam świadkiem dziwnej sceny. Jeden młody, bo 16-letni ranny, na wiadomość, że idą moskale, uciekł do ogrodu, chowając się w krzaki. Tam się przeziębił, dostał zapalenie płuc, i był właśnie konającym prawie, kiedyśmy szpital ten odwiedzali. W tem nadeszli moskale. Pułkownik Enochin, znany z tygrysiej krwiożerczości by z nimi, a był to wielki pijak, jak zwykle każdy oficer moskiewski, przyszedł odwiedzić rannych, kiedy się zbliżył do tego owego młodzieńca, doktor powiedział mu, że za chwilę żyć przestanie, Enochin stanął zasmucony nad nim, i w te odezwał się słowa:

— Ty Paljak, ty już idziesz do nieba, skaży Bochu odemnie, że połkownik i kawalir Enochin, ciebie w ruku pocałowat — i przy tych słowach pocałował umierającego w rękę.

Długo jeszcze trwało nasze powstanie, bo przeszło półtora roku. W szeregach naszych widzieliśmy Niemców, Francuzów, Węgrów, lecz tych ostatnich było stosunkowo bardzo mało. Zapomnieli widocznie, że w 48 roku tysiące naszej młodzieży poszło

pomagać im w walce o wolność, wtenczas kiedy to ta ładna pieśń powstała:

„Za Karpaty w imię Boga,
Dzielnym Węgrom dłoń podajmy,
Na wspólnego idziem wroga,
Wraz się bijmy, wraz padajmy,
A gdy tak działać będziemy,
Wtedy wolność osiągniemy."

Francuzi więcej pamiętali o tem, że legiony polskie za nich swą krew przelewali.

Anglia dała coś broni, tak, że już przy końcu, wszystkie oddziały nasze były w doskonałe sztucery angielskie zaopatrzone.

Rząd austryacki początkowo patrzył przez palce na to, co się w kraju dzieje, ale później, zapewnie za namową Rosyi, zaczęto w Galicyi wyłapywać powstańców, więzić ich, a niektórych nawet wydawać władzom rosyjskim. Wojska austryackie stanęły nad granicą, ażeby utrudnić powstańcom wejście do Królestwa.

Czy można ustrzedz się choroby?

(Ciąg dalszy).

Wieleby jeszcze dało się powiedzieć o pożytku pożywniejszego odżywiania. Ale i to cośmy już powiedzieli, wystarczy chyba, żeby gosposie nasze do pewnych zmian w karmieniu rodzin swoich zachęcić. Rozpocznijcie od podawania lepszej strawy raz na tydzień w niedzielę. — Kupcie choćby po ćwierci funta mięsa na głowę, to jest funt na 4 osoby i ugotujcie z tego rosół, n. p. z jęczmiennemi krupkami, czyli t. zw. krupnik, a mięso zjedzcie z ogórkiem, lub kwaśną kapustą. Będzie i odmiana i pożytek większy, niż z paru garncy ziemniaków. Dobry jest rosół z fasolą lub z ziemniakami, ale trzeba ten rosół umieć ugotować. Trzeba go posolić, dodać 1-ną marchewkę, 1 pietruszkę i kilka ziarnek pieprzu, a zaraz smaku nabierze. Sama woda z mięsa nie będzie smakować i nikogo nie zachęci.

Albo też podajcie zupę ziemniaczaną, a mięso uduście w garnuszku, podłożywszy pod spód trochę omasty, masła lub słoniny. Do mięsa ugotujcie kapusty lub kaszy, a będzie znowu pożywne, smaczne i łatwo strawne jedzenie. A przedewszystkiem włóżcie trochę pracy i staranności w przyrządzanie waszej strawy. Przyrządźcie czysto, porządnie, podajcie na czystym stole, a jeżeli macie, to i na czystej serwecie. Dobrze podane jadło lepiej smakuje. A jak dom wasz będzie wyglądał mile i schludnie, to i mężowie wasi do karczmy uciekać nie będą. Trzeba umieć zatrzymać chłopa w domu, trzeba mu dać coś smacznego do zjedzenia, a nawet i sąsiadów na to jedzenie zaprosić, żeby sobie w wolny czas od pracy przy stole pogwarzyli, a karczma nie będzie już ciągnąć i pieniądze tracone na wódkę i piwo zostaną w kieszeni.

Bo mniej wyda oszczędna gospodyni, gdy poda gościom w niedzielę kubek smacznej kawy, lub herbaty, a nawet kawałek pieczeni z mięsa, niż straci chłop w karczmie dla siebie i na poczęstunek dla innych. W domu nie ma obawy o rozpicie się, bo nie ma karczmarza, którego interes nakazuje sprzedać jak najwięcej, a przyjemność z pogawędki będzie ta sama, co w karczmie.

Dla gospodyń będzie lepiej, bo ta odrobina zachodu, jaką musi ponieść gosposia przy podaniu gościom przyjęcia, opłaci jej się przez to, że i sama gawędce się przysłucha i nie będzie przez chłopów za głupszą uważana. Bo każda z nas ma rozum na swoje potrzeby, a często i lepszy nawet niż chłop niejeden, ale gdy się za próg chałupy i obejścia nie wyjrzy, gdy się nigdy z nikim o żadnych sprawach nie pogwarzy, to i ten rozum nasz nie może się rozwinąć i istotnie chłopi stają się czasem od nas mądrzejsi. Że zaś latania do karczmy żadnej kobiecie doradzać nie będziemy, bo pijaństwo, to straszna klęska, tak samo uczepić się jej może, jak i chłopa, dlatego zachęcamy tutaj do zapraszania w niedzielę sąsiadów do siebie. Niech co tydzień inna gosposia urządzi u siebie gościnę, a i kosztu wielkiego nie będzie i zniknie powoli to rozpijanie się w karczmach.

Bo pamiętajcie, że do karczmy leci się z dwóch przyczyn: raz, żeby coś „smacznego" się napić, a po drugie, żeby towarzystwa użyć. Dajcie smaczną strawę w domu, a przytem inną nie codzienną, i dajcie towarzystwo, a karczma ciągnąć nie będzie.

A smacznem przecież może być nietylko wódka i piwo. Dobra kawa, herbata z sokiem malinowym lub wiśniowym, kiełbasa, pieczeń, chleb z masłem — wszystko to przecież i smaczne i zdrowe.

Każdy, zanim się do wódki przyzwyczai, wykrzywia się niemiłosiernie przy jej połykaniu, szczypie go to i parzy, ale pije, bo widzi, że piją inni. Nie smakuje mu to często, ale uczy się od innych, przyzwyczaja się powoli i traci

zdrowie, pieniądz, naraża siebie i rodzinę na nieszczęście.

Nie uczcie zatem przedewszystkiem waszych dzieci picia bodaj po trochu wódki, nie posyłajcie ich do karczmy po wódkę lub arak; przyzwyczajcie je natomiast do lepszej, pożywniejszej i bardziej rozmaitej strawy, a nieocenione korzyści dla dobra i rodziny swojej i kraju całego przynieść możecie. Bo pijaństwo jest u nas straszną plagą — dziesiątki tysięcy guldenów z biednych chłopskich kieszeni ściągają karczmarze. Gdyby choć dziesiątą część tysięcy obrócić na lepszą strawę, bylibyśmy zdrowsi, silniejsi, pracowitsi, a przez to bogatsi.

Tak więc gosposie, w waszem ręku leży poprawa, przyłóżcie się do tego, a wielką zasługę mieć będziecie.

Pożywnem jedzeniem nazwaliśmy na początku potrawy takie, które zawierają w sobie jak najwięcej materyałów do odbudowania zużytych cząstek naszego ciała potrzebnych. A takiemi potrzebnemi cząstkami są woda, białko, tłuszcz, cukier i mąka. Rzecz prosta, że ani samem białkiem kurzem, ani mąką, ani cukrem, żywić się wprost nie można. Ale są pokarmy, które te wszystkie materyały zawierają.

Tak np. mleko niezbierane zawiera w sobie wszystko: jest woda, jest tłuszcz, jest cukier, jest i białko. Mlekiem z dodatkiem chleba, lub ziemniaków, można się zdrowo i dobrze odżywiać. Tak samo mięso z dodatkiem tłuszczu, zawiera również te części, co i mleko. Podobnież wszystkie te potrzebne części zawierają: groch, bób i fasola. Gdy w pokarmie naszym brakuje bodaj jednej z potrzebnych części, dobrze się odżywiać nie można. Chude mięso, lub zbierane mleko, zawierać będą białko, lecz brak im potrzebnego tłuszczu i mąki. Dlatego potrzebny jest dodatek tłuszczu i chleba, lub jarzyn. Suchy chleb, lub jarzyny zawierają cukier i mąkę, lecz mają za mało białka i tłuszczu. Dlatego potrzebna jest do nich omasta i dodatek takich pokarmów, które zawierają białko, t. j. mięsa, mleka lub jajek. Dlatego potrzeba pokarmy umiejętnie dobierać, żeby wszystkich części było w nich dosyć. Dokładnych, szczegółowych przepisów niepodobna tutaj podawać, sądzimy wszakże, że na podstawie tego, co tutaj podane, potraficie umiejętnie strawę waszą przyrządzić.

Powiedzieliśmy dalej, że jedzenie nasze, oprócz tego, że winno być pożywne, powinno być również i strawne.

Dajcie parotygodniowemu dziecku kapusty, lub ziemniaków, a rozchoruje się napewno, każcie dorosłemu człowiekowi zjeść kilka funtów mięsa, a również przyprawicie go o chorobę. Żołądek nasz bowiem i kiszki, czyli nasz narząd pokarmowy jest zdolny przerobić tylko pewną ilość odpowiednio dobranych pokarmów. Gdy damy za wiele, nadmiar gnić zaczyna, powstają z tego gnicia soki i gazy trujące, które wprost zatruwają organizm. Niestrawność objawia się bólem głowy, gorączką, bólem brzucha, wymiotami, rozwolnieniem, jednem słowem, cały nasz organizm pokutuje za nadmierne przeładowanie pokarmami kanału pokarmowego.

Pamiętajcie zatem, że jeść się powinno tyle tylko na raz, żeby głód zaspokoić, a nigdy aż do przesytu, bo z nadmiaru łatwo zachorować można. Często można dostać niestrawności nietylko z nadmiernego jedzenia. Źle przyrządzona, lub niewłaściwa strawa, również strawić się nie da. Naprzykład twarde, niedogotowane jarzyny, lub zbyt tłuste mięso są do strawienia trudne. Prócz tego baczyć należy, żeby jedzenie nasze było świeże, tj. żeby od przyrządzenia do spożycia nie upływał czas zbyt długi. Inaczej będzie zepsute, zgniłe, przekwaśniałe i będzie zawierać w sobie trujące dla organizmu części. Wreszcie powinno jedzenie nasze nie być ani zbyt gorące, a przy włożeniu do ust przyjemnie ciepłe.

Oto mniejwięcej najważniejsze przepisy dotyczące tego, co i jak jeść należy. Gdyby która z gospodyń chciała się o tem dowiedzieć więcej, niech przeczyta książeczkę pod tytułem: „Jak się odżywiać należy!“ napisaną przez profesora Odona Bujwida.

W jaki sposób powstały miasta w dawnej Polsce.

Aż do XIII-go wieku naród polski był wyłącznie rolniczym, prowadził gospodarkę naturalną, polegającą na tem, że każda rodzina zaspakajała swoje potrzeby, zużytkowując wytwory własnego gospodarstwa. Ziemia dostarczała zboża, bydło dawało mięso i mleko, pszczoły miód słodki, gospodarz z czeladzią ścinał i opracowywał drzewo na budowę chaty, wyrabiał naczynia i sprzęty niezbędne, odzież również sporządzano w domu. Ale gospodarka naturalna i związany z nią prosty, skromny nader tryb życia, nie mogły

się długo utrzymać. Polska wchodziła w ciągłe stosunki z sąsiedniemi Niemcami, przywożono do nas z Niemiec piękne, barwne towary, wytworne sprzęty, ozdobną broń i naczynia; społeczeństwo polskie zapoznawało się z lepszym, wygodniejszym sposobem życia, zapragnęło zwyczaje obce zaprowadzić u siebie. Dla zaspokojenia tych nowych potrzeb należało we własnym kraju stworzyć ogniska przemysłu i handlu, pobudować miasta, w którychby wyrabiano pożądane przez ogół przedmioty. sprowadzanie ich bowiem z zagranicy, wobec braku dróg i niebezpieczeństw podróży, było wielce trudnem i niesłychanie podniosło ich cenę. Ale niestety w ówczesnej Polsce brakło ludzi, którzyby mogli podjąć pracę około zakładania miast, rozwoju przemysłu i handlu, kraj był słabo zaludniony pustoszyły go walki wewnętrzne i napady Tatarów. Trzeba było ludzi tych szukać poza granicą, sprowadzać z Niemiec osadników, tak zwanych k o l o n i s t ó w. Przybywali oni chętnie do gościnnej Polski, znajdując tu obszerne pole do pracy i doskonałe warunki materyalnego bytu. Koloniści zakładali u nas liczne miasta, podobne do tych, jakie istniały w ich ojczyźnie: budowali je zwykle u stóp dawnych grodów czyli zamków obronnych, od kórych nowe te siedziby wzięły swoje nazwiska jakoto: Wrocław, Poznań, Kraków, Kalisz, Lignica, Płock, Sandomierz i wiele innych. Naczelnik gromady kolonistów, zwany w ó j t e m, zawierał z księciem panującym w kraju układ, spisywano obustronne warunki, książę dawał osadnikom niemieckim ziemię, oni zaś obowiązywali się corocznie na św. Marcina składać mu pewną określoną sumę pieniężną: książę zrzekł się wszelkiej nad nimi władzy, obdarzył ich zupełnym samorządem, to znaczy, że mogli oni sami wybierać sobie własnych urzędników i sędziów, książę nie miał żadnego prawa mięszać się do ich spraw wewnętrznych.

Koloniści na ziemi nadanej im wykreślali plac czworokątny, zwany rynkiem, stawiali tam ratusz dla pomieszczenia władz swoich; wyznaczali potem ulice, a pozostałą ziemię dzielili na części, które oddawano osadnikom na zagrody. Miasto całe dla zabezpieczenia od napadów nieprzyjaciół otaczano wałem i rowem, za którym rozciągały się grunta, pastwiska i lasy należące do całej gromady.

Pierwszorzędne stanowisko w mieście piastował w ó j t, miewał on znaczne dochody, dostawał dla siebie pewną ilość łanów ziemskich, otrzymywał szóstą część opłat należnych księciu; dla niego szły niektóre dochody z kar pieniężnych nakładanych na przestępców, opłaty jatek, szynków, młynów itp. Stanowisko wójta i połączone z niem materyalne korzyści, były d z i e d z i c z n e, z ojca przechodziły na synów i krewnych, wolno je było sprzedać lub odstąpić komuś na zasadzie dobrowolnej umowy. Do wójta należała w ł a d z a s ą d o w a, którą sprawował wraz z ławnikami, obieranymi przez ludność; sprawy sądzono wedle prawa niemieckiego.

Mieszczaństwo niechętnie znosiło przewagę wójta i dla ograniczenia jej ustanawiało nowe władze zwane r a d a m i m i e j s k i e m i; składały się one z pewnej ilości radców, czyli członków wybieranych na lat kilka przez ogół mieszczaństwa, na ich czele stał burmistrz. Rada sprawowała rządy w mieście, czuwała nad rozwojem przemysłu i handlu, nad porządkiem i bezpieczeństwem mieszkańców, nakładała na nich podatki, idące na zaspokojenie potrzeb miasta.

Przemysł i handel, którego ogniskami były miasta, inne miał urządzenie w wieku XIII-tym aniżeli dzisiaj, gdyż wśród zupełnie innych rozwijał się warunków. Dziś kto chce i gdzie chce, może otworzyć sklep, prowadzić handel; od jego zręczności i sumienności zależy powodzenie. Dawniej prawo zajmowania się przemysłem i handlem mieli tylko obywatele danego miasta, obcy kupiec mógł towary swoje przywozić jedynie podczas j a r m a r k ó w, czyli wielkich targów, na które ze wszech stron ściągały tłumy kupującej ludności. Nie każdemu obywatelowi danego miasta wolno było zajmować się rzemiosłem, które mu przypadało do smaku, nie znano swobody pracy, istniały w miastach ograniczone grupy ludzi. którym przysługiwało wyłączne prawo zajmowania się pewnem rzemiosłem, uprawiania danej gałęzi przemysłu; nazywano je c e c h a m i. Są cechy krawców, szewców, stolarzy, garbarzy, złotników itp. Przymus cechowy wszędzie odczuwać się dawał; kto trudnił się rzemiosłem, musiał należeć do odpowiedniego cechu, z drugiej znów strony mieszkańcy miasta obowiązani byli kupować wyroby tylko członków cechowego stowarzyszenia.

Każdy cech składał się z m a j s t r ó w i c z e l a d n i k ó w; majstrem można było zostać po odbyciu przepisanej ilości lat praktyki i po wykonaniu pomyślnem próby. tj. sporządzeniu wobec zgromadzonych majstrów przedmiotu wchodzącego w zakres danego rzemiosła, np. szewc musiał zrobić sam dobrą i piękną parę obuwia, stolarz sprzęt domowy, krawiec uszyć ubranie itp.

Czeladnicy byli oddani pod opiekę majstrów, i pracowali pod ich kierunkiem.

W czasach, kiedy w Polsce pierwsze po-

wstawały miasta, nie istniały owe olbrzymie różnice, jakie dzisiaj dzielą ubogiego robotnika w fabryce od właściciela stojącego na jej czele. Majster i czeladnik prowadzili podobny tryb życia, mieszkali częstokroć wspólnie, pracując przy jednym warsztacie, z czasem czeladnik mógł wyzwolić się i sam otrzymać stanowisko majstra. Dzisiaj prawdziwa przepaść majątkowa dzieli robotnika od przedsiębiorcy-fabrykanta, i pierwszemu z nich nawet marzyć trudno o zdobyciu wysokiego stanowiska, na którem stoi drugi.

Cechy dawne czuwały nad dobrocią wyrobów i zapewniały członkom swoim szybką ich sprzedaż. Dzisiaj jeżeli rzemieślnik chce sprzedawać dużo towaru i ciągnąć zeń odpowiednie zyski, to sam dbać musi o dobroć materyału, sumienność i dokładność w wykonaniu roboty, by tem ściągać do sklepu swego jaknajwięcej publiczności. Niedbały, niesumienny rzemieślnik nie może liczyć na powodzenie, ani utrzymać się wśród licznych współzawodników, lepiej od niego znających się na swojem rzemiośle. Dawniej o dobroci wyrobów stanowiły cechy, one starały się o ich zbyt najszybszy, oznaczały ściśle ilość sił roboczych, żadnemu majstrowi nie było wolno trzymać więcej nad czterech do pięciu czeladników i określoną liczbę chłopców do nauki. Cechy czuwały nad tem, by podobne towary po jednakowej sprzedano cenie, do ich przepisów i uchwał wszyscy musieli się najściślej stosować.

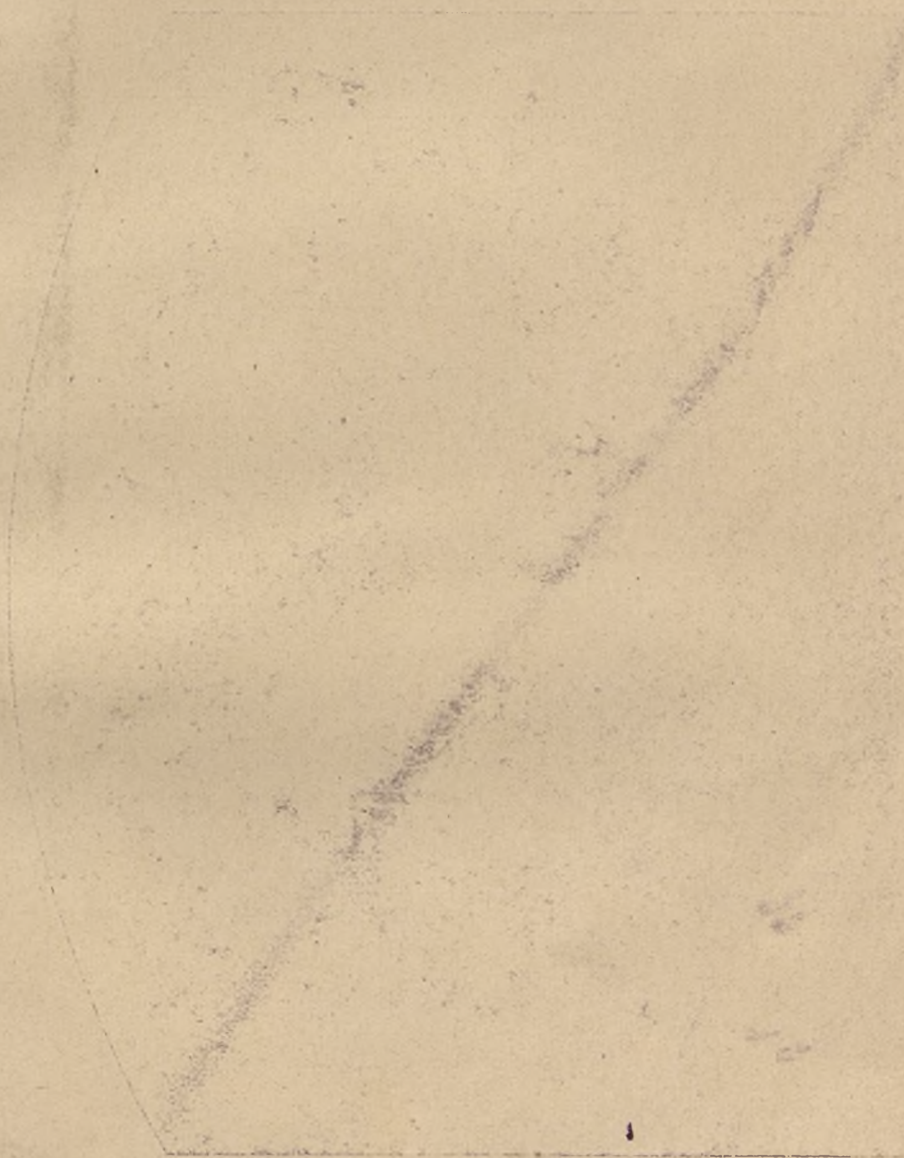
Kolonizacya niemiecka i wiążące się z nią powstanie miast w Polsce, to jeden z ważniejszych wypadków w naszej historyi. Kraj nasz pozyskał nowych mieszkańców, pracowitych i wytrwałych, stojących pod wieloma względami znacznie wyżej od ludności rodzimej. Dzięki ich pracy wzrósł dobrobyt, rozwinął się przemysł i handel, powstały ludne, ruchliwe i bogate miasta. Kolonizacya jednak obok dodatnich ma i ujemne swe strony. mieszczanie byli żywiołem obcym, pochodzili z Niemiec, zawsze wrogo usposobionych względem ludów słowiańskich, nie poczuwali się oni do żadnych obowiązków względem kraju, w którym żyli, z którego znaczne ciągnęli zyski, szukać u nich trudno obywatelskiego ducha i miłości ziemi, która obcą im była. Przeszło wiele wieków, zanim mieszczaństwo nasze spolszczyło się i zatraciło poczucie swej przynależności do niemieckiego narodu. Aż do XVI wieku stanowią oni żywioł obcy nam, nieledwie wrogi, grożą Polsce zniemczeniem, mięszają się do polityki, powołując na tron krakowski zniemczonych książąt jak: Henryka Probusa. Mieszczaństwo krakowskie pod wodzą swego wójta Alberta, buntuje się przeciw Władysławowi Łokietkowi, gdyż upatruje w nim wroga germańskiego plemienia. Tłumiąc bunt krakowski, Łokietek zniszczył potęgę mieszczan i na zawsze odsunął ich od mięszania się do spraw państwowych. Mieszczaństwo bogate, możne, ruchliwe za rządów Kazimierza Wielkiego i pierwszych Jagiellonów, od XVI-go wieku poczyna upadać, ubożeje, a zgnębione przez rosnącą potęgę szlachty, nie odgrywa dalej w dziejach naszych należnej mu roli. *Helena Witkowska.*

O ubezpieczeniu posagów.

Napisał Dr. Stan. Głąbiński, prof. Uniw. we Lwowie.

Jedną z najważniejszych instytucyi nowożytnych, są zakłady ubezpieczeń. Zakłady te jednak nie ograniczają się na ubezpieczeniu majątków i plonów od grożących im klęsk elementarnych, ognia, gradu, zarazy, powodzi, lecz zabezpieczają rodzinie na wypadek śmierci, starości, osiągnięcia pewnego wieku, odpowiednią sumę pieniężną, która przynajmniej w części powetować ma rodzinie materyalną stratę, spowodowaną śmiercią lub ubytkiem sił jej członków, albo ułatwić jej dopełnienie obowiązków względem synów i córek wychodzących z gniazda rodzinnego. W krajach zachodnich rozpowszechniły się te ubezpieczenia wśród ludności wiejskiej i warstw robotniczych tak szeroko, że np. w Anglii i Ameryce Północnej niemal w każdej rodzinie istnieje zwyczaj ubezpieczenia członków rodziny: jednych na wypadek śmierci lub starości, innych na czas pełnoletności. U nas ubezpieczenia takie u włościan należą do wyjątków. Zamierzam obecnie przedstawić ubezpieczenia posagów, które w naszym kraju, wobec rozdrobnienia gruntów i gęstości zaludnienia, powinny pozyskać uznanie i wziętość u ludu.

Ubezpieczenie posagu lub w ogóle pewnego kapitału na czas, gdy dziecko (syn lub córka) dojdzie do pewnego wieku, np. 18, 20, 24, ma na celu odpowiednie wyposażenie lub zaopatrzenie synów lub córek, aby im dać możność czy odpowiedniego wyjścia za mąż, czy też rozpoczęcia pewnego rzemiosła lub założenia własnego gospodarstwa. Ubezpieczenie takie daje pewność ojcu rodziny, że dziecko jego, skoro





Artur Grottger: „Wojna“.

7. ZDRADA i KARA.



Artur Grottger: „Wojna“.

8. OBDZIERANIE POLEGŁYCH („LUDZIE CZY SZAKALE?“).

dojdzie do samodzielności, będzie rozporządzało pewnym kapitałem pieniężnym, który może mu dać podstawę do samoistnej pracy i utrzymania, bez oglądania się na dalsze zapomogi od rodziny i na podział skromnej spuścizny ojcowskiej. W ten sposób gospodarstwo rodzinne może być utrzymane w jednych rękach, albowiem w miejsce spłaty członków rodziny mogą wejść sumy ubezpieczone, w ten sposób też będą mogli wyposażeni członkowie rodziny nabyć dla siebie własne gospodarstwo. Za pomocą ubezpieczeń posagów można zapobiedz nieskończonemu zadłużaniu gruntów włościańskich i rozwielmożnieniu się lichwy, albowiem głównem źródłem długów włościańskich są działy spadkowe i spłaty rodzeństwa. Nakoniec także wówczas, gdy ubezpieczeni członkowie rodziny pozostaną nadal przy rodzinie i przy gospodarstwie ojcowskiem, uzyskanie naraz większej sumy pieniężnej w czasie jej płatności, stanowi dla gospodarstwa pożądany przybytek, który może posłużyć na przykupno gruntu, inwentarza lub na spłatę długów.

Warunkiem ubezpieczenia posagu jest coroczne płacenie p r e m i i u b e z p i e c z e n i a do kasy zakładu ubezpieczeń. Wysokość premii ubezpieczenia zależy od sumy ubezpieczonej oraz od wieku, w jakim dziecko zostaje ubezpieczone i w jakim kapitał posagowy ma być płatnym. Im dłuższym jest czas, przez które premię mają być płacone, tem stosunkowo mniejszą jest coroczna premia. W krakowskiem towarzystwie ubezpieczeń wynosi premia około 4% od ubezpieczonego kapitału, jeżeli dziecko zaraz w pierwszym roku życia zostanie ubezpieczone, a kapitał ma być wypłacony w 18-tym roku jego życia; premia wynosi $3^1/_2$% od kapitału, jeżeli kapitał ma być wypłacony w 20-tym roku, a tylko $2^1/_2$% od kapitału, jeżeli kapitał ma być dopiero w 24-tym roku jego życia. Kto zatem pragnie zabezpieczyć dla swego dziecka (syna lub córki) wypłatę kapitału w kwocie 1000 koron w chwili dojścia do pełnoletności (24 lat), winien płacić corocznie tytułem premii asekuracyjnej 26 koron przez lat 24. Dla kogo jednorazowe płacenie premii jest zbyt uciążliwe, może wyjednać w towarzystwie ubezpieczeń rozłożenie na raty półroczne, kwartalne lub miesięczne. Jeśliby dziecko przed dojściem do owego roku zmarło, wtedy zakład ubezpieczeń zwraca sumę zapłaconych premii bez procentu.

Ubezpieczenie posagów jest bardzo podobne do ulokowania pieniędzy w kasie oszczędności, ponieważ pieniądze składane corocznie w kasie oszczędności na procent, wzrastają po dłuższym okresie czasu w podobne sumy, jak ubezpieczony kapitał posagowy: pomimo to za ubezpieczeniem przemawia najpierw ten wzgląd, że kapitał ubezpieczony, jest zwykle większy, niż kwota zebrana w kasie oszczędności, powtóre zaś ta okoliczność, że ubezpieczenie z m u s z a do oszczędności i do płacenia premii pod rygorem straty premii zapłaconych, gdy przeciwnie nawet oszczędni i przezorni ludzie nie zwykli regularnie wkładać swoich oszczędności w kasie celem ich oprocentowania. Jeżeli premia ubezpieczeń nie zostanie uiszczoną w terminie, (a w towarzystwie krakowskiem najpóźniej w 60 dni po terminie), wtedy przepadają premie zapłacone i przechodzą na własność towarzystwa.

Ubezpieczenie posagów zasługuje więc na pierwszeństwo przed wkładkami w kasie oszczędności u ludzi, którym dochody pozwalają płacić regularnie premie asekuracyjne. Natomiast kto niema pewności, że będzie mógł płacić premię punktualnie, niechaj raczej umieszcza swe oszczędności w kasie, lub ubezpieczy mniejszą sumę posagową, zamiast narażać je na straty, przez niedopełnienie zobowiązań, przyjętych wobec zakładu ubezpieczeń.

Przy ubezpieczeniach posagowych, jak przy wszystkich ubezpieczeniach na życie, ważnym jest wybór z a k ł a d u, w którym zamierzamy się ubezpieczyć. Na wybór ten bowiem wpływać musi nie tylko taniość zakładu, czyli niższa premia liczona przez zakład, ale zarazem pewność, czyli bezpieczeństwo, że w swoim czasie zakład dopełni z swej strony w całości, punktualnie bez skarg i korowodów swojego zobowiązania, to znaczy wypłaci całą sumę posagową. Pod tym względem wiele zakładów obcych, mianowicie angielskich, amerykańskich, węgierskich i niemieckich, nie daje dostatecznej rękojmi i dlatego w takich zakładach nie należy się ubezpieczać, chociażby ofiarowały na pozór najkorzystniejsze warunki i miały taryfę premii najniższą.

Dla zawarcia umowy z zakładem o ubezpieczenie należy zażądać od dyrekcyi lub agencyi towarzystwa formularza na napisanie wniosku o ubezpieczenie posagu, wypełnić i podpisać ów formularz, dołączyć (zaraz lub później) metrykę dziecka i przesłać te dokumenty do dyrekcyi lub agencyi towarzystwa ubezpieczeń. Z zakładów ubezpieczeń na życie działających w Galicyi, zasługuje na zaufanie: Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Krakowskie towarzystwo ubezpieczeń oświadczyło gotowość oddania zarządom Kółek rolniczych, agencyi całego działu życiowego.

Ubezpieczajcież się więc przez te zarządy kółek — i redakcya „Przodownicy“ chętnie się zajmie ubezpieczeniem Czytelniczek i Czytelników.

Na obczyźnie.

Już kilka miesięcy pracują robotnicy polscy w Wizborgordzie, majątku w Jutlandyi północnej, należącej do Danii. Zgodzeni do robót letnich i jesiennych, z upragnieniem teraz oczekują ich końca. Niejeden żałuje, że tu przybył, i rzuciłby chętnie robotę, gdyby nie obawa stracenia ciężko zapracowanego dotąd grosza, główną bowiem płacę zarobną dają po przejściu całego czasu umówionego.

Niby płacą tu rzetelnie, a człowiek nijakich wymysłów rządcy czy ekonoma nie słyszy, albo nie rozumie, bo wszyscy tu mówią po duńsku. Najgorsza ta niewola, że — chcesz czy nie chcesz — do roboty iść musisz, w domu nijak zostać nie możesz, choćby się chciało wypocząć, wyspać, a i wyprostować członki spracowane.

Najbardziej odczuwa to Małgorzata Narwikówna, niska, krępa, czarniawa dziewczyna o oczach piwnych. Wprawdzie roboty ciężkiej zwyczajna, przywykła do niej od dziecka, wyraźnie sierota. Wcześnie chadzać poczęła po służbach i niejednego już zażyła. Znano ją wszędzie jako dobrą robotnicę, a że była silną, nie nowina to dla niej unieść korzec zboża, czego nie każdy chłop się imie. — Słyszy raz: idą na robotę do cudzego kraju. Słyszy znowu: wrócili z pieniędzmi. Dopomógł im Pan Bóg — czemużby i jej niemiał wesprzeć? I oto przybyła tu z innymi. Bała się z razu, że to wśród obcych, aleć przecież nie sama, bo ich jest głów osiemnaście, ma więc do kogo przemówić. Potem to i rada była z przybycia swego, bo naprzód nigdy nie ułaknie strawy, a zresztą wie, że po skończeniu roboty odbierze sporo pieniędzy.

O tych pieniędzach myśli dziewczyna często. Zmęczony wyraz jej twarzy ustępuje wtedy przed uśmiechem zadowolenia i nadziei. Pogrążona w zadumie, nie zważa na wesołe zaczepki i rozmowy towarzyszów i towarzyszek. Mało ją wszystko obchodzi, a myśl jej zajęta tylko jednem: za pieniądze zaoszczędzone będzie miała pierzyny i krowę, a wtedy i Stasiek będzie jej!

Znają się dawno, kochają i chcą się pobrać, ale wprzód ona musi mieć krowę. Tak uradzili i tego się trzymają. On gospodarzy na trzech morgach, a przytem chodzi do roboty dworskiej, a że ma starą matkę i troje rodzeństwa, więc sporo gąb do żywienia. Ją sierotę chce za żonę bo robotna, to wiadomo. Sama mu się ofiarowała, że pójdzie wprzód na zarobek. Nie zgadzał się na to, że to poniewierka wśród obcych, ale w końcu przystał i czeka tam jej powrotu.

Lato upalne dużo sił zabrało Małgosi. Ogorzała, schudła, na twarzy ma teraz zawsze wyraz zmęczenia. Ludzie dziwią się bardzo, bo była zawsze silną i wytrwałą; dziewczyny śmieją się, że tęskni za Staśkiem. Sama czuje, że jest nieco słabsza, ale to musi od upału. Nadchodzi teraz jesień; słońce już mniej dopieka, lecz znowu często dokucza zimno. Szczególniej, kiedy wiatr od morza zawionie i dzień cały hasa, po twarzy smaga, rozwiewa ubranie i do kości przenika. To znowu deszcz się rozpada i do suchej przemoczy nitki.

Dobrze że choć dni krótsze. Robota zda się też mniejsza, ale równie ciężka. Nastała teraz młocka na maszynie parowej, obsługiwanej przez Polaków. Małgorzacie kazano nosić wodę do maszyny ze stawu, odległego o kilkaset kroków. Z trudnością teraz dźwiga nosidła z dwoma wiadrami, zwłaszcza pod górę. Dla nabrania wody wchodzić musi do stawu prawie po kolana. Zimno październikowe daje się dobrze we znaki, zwłaszcza że dziewczyna chodzi na bosaka, bo jakże można inaczej, kiedy buciki kosztują niemało, a w wodzie zniszczyłyby się rychlej. Nieraz łzy toczą się po twarzy zmęczonej, dech zda się uciekać, ręce wypuszczają wiadra — ale wtedy jedna myśl o powrocie i o Staśku dodaje siły i trudność pokonuje. A jednak coraz ciężej jest Małgorzacie. Ludzie dziwują się i radzą, by zmieniła robotę, ale dozorca nie pozwala. Zresztą i ona sama nie dba o to. Wie, że to koniec niedługo... jeszcze tylko dziesięć dni.

A tu budzi się jednego ranka z bólem głowy, nie może ruszyć ręką ani nogą. — „To nieszczęście!“ wyrzeka nieboga i zostaje w domu, pocieszając się, że jutro znowa do roboty pójdzie. Nie poszła już i przeleżała do końca, gryząc się mocno w obawie, że może tu zemrzeć, a wtedy po wszystkiem. Inne kobiety ją pocieszają, niektóre zresztą płaczą nad nią i jej chorobą. Każdy spieszy z pomocą i poradą, na jaką zdobyć się może. I przez dni kilka tak przeleżała sama w izbie, rozmyślając nad swem niedołęstwem,

modląc się o zdrowie i bojąc śmierci bez spowiedzi, bo do księdza tu bardzo daleko...

Gorączka, wedle mniemania ogólnego, zejść miała rychło, tymczasem jakoś nie ustawała; stawała się coraz więcej niespokojną i poczęła bredzić...

Nastąpił dzień ostatni roboty. Potem w kancelaryi dworskiej obrachowano wszystkich i wypłacono należność każdemu. Niejeden otrzymał inaczej, aniżeli się spodziewał, bo liczył sobie w pamięci, mógł więc zapomnieć lub przeoczyć.

A więc koniec! Jazda! Według obliczenia pociągów mieli wyjechać drugiego dnia na noc, t. j. w niedzielę. Teraz kłopot z Małgorzatą. We dworze uradzono wysłać ją do szpitala pobliskiego w Terndrupie.

Zdawało się tak najlepiej, a jednak przykro było wszystkim zostawiać ją tam, skąd może nie wyjdzie. Każdy czuł, że mogło go spotkać to samo i serdecznie żałował dobrej robotnej dziewczyny. Jedna z towarzyszek chciała zostać z nią, ale okazało się to niemożliwem, bo kosztowałoby bardzo dużo. Zresztą wioska rodzinna nęciła także.

Odwieziono więc biedną chorą na wózku dworskim, za którym podążyli wszyscy, przeprowadzając ją do szpitala. Małgosia nie zdawała sobie sprawy, a w ciężkiej malignie zrywała się ciągle i bredziła, wołając pomocy Staśka, to żaliła się Matce Boskiej. Zresztą trudno było po chwycić i zrozumieć wyrazy pojedyncze...

Smutną była gromadka, wracająca z Ternsdrupu, boć to zawsze swoja dziewczyna, a niewiadomo, jak tam jeszcze będzie. Jednak myśl radosna o powrocie rychłym do Wrzosienic nie pozwoliła smutkowi oddawać się długo. Że to niedziela, spędzono parę godzin na modlitwie wspólnej, odczytanej w Wyborku i śpiewach nabożnych. Po obiedzie poszła pogawędka o Wrzosienicach. Snują się rozmaite domysły o tem, co tam teraz dziać się może, a każdy nawiązuje do rozmowy wspomnienia własne i gwarno, wesoło czas przechodzi.

Chwycił ktoś harmonię i wydobywa dźwięki melodyi skocznej. Odzywa się głos:

— No, chłopcy! pohasajmy raz jeszcze na obczyźnie!

Nie od razu zgodzono się na to; dziewczyna jedna zauważyła, że nie godzi się weselić, kiedy Małgośka zostaje tak śmiertelnie chora. Jednak ochota młodzieży przemogła: zabrano się do tańca, przeplatanego śpiewem; dopiero późnym wieczorem zbierają się w drogę. Na południe ciągną, niby ptactwo wędrowne, by w izbach ojczystych przezimować do nowej wędrówki, lub pozostać na zawsze, gdyby było można...

* * *

Małgosia w szpitalu znalazła opiekę i wygody potrzebne. Zajął się nią dobry lekarz i dozorczyni pilnowała starannie, bo mieli współczucia dla tej obcej polskiej dziewczyny („polsk pige"), o której przygodach się dowiedzieli. Żadne atoli leki i starania nie pomagały. W ciężkim tyfusie przebyła Małgorzata w szpitalu kilka tygodni i nie odzyskała już przytomności, wyrzucając w malignie całe potoki wyrazów, których otoczenie zrozumieć nie mogło. Były tam zapewne echa jej marzeń o powrocie, nadziei szczęścia ze Staśkiem, a może obawy śmierci w opuszczeniu...

Zmarła nieboga. Trumny jej nie odprowadził na cmentarz nikt ze znajomych; pogrzebowi nie towarzyszyły śpiewy nabożne, ksiądz nie pokropił ciała ni grobu. Zawieziono ją na wózku szpitalnym na cmentarz i w zimnym złożono dole, obcym przysypując piaskiem. Trawa już nie porośnie teraz na żółtej mogile, którą wicher rozgania, a deszcz kroplisty rozmacza.

Grabarz pokazuje jako osobliwość ten grób „polskiej dziewczyny", ale przechodnie nic osobliwego nie dostrzegają: różnica nastąpi z wiosną, kiedy od innych starannie utrzymywanych grobów dziwnie odbijać będzie ta zapomniana mogiła. Zresztą... zarośnie rychło zielskiem, zniknie w niem dla oka i pójdzie w niepamięć.

Nie znalazła Małgorzata Narwikówna na obczyźnie drogi do szczęścia, lecz grób i opuszczenie...

Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie!...

Wł. R. Koz.



O świecie.

Nie zastanawiamy się nigdy, rzadko przynajmniej, jaki nasz świat jest strasznie szeroki, jaki jest wielki! Poza tem wszystkiem, z czem się w życiu spotykamy, poza tymi lądami i morzami odległymi, jest przecie tuż przy nas cały świat ukryty dla naszych oczu, a jednak kipi w niem życie! Jest to świat za mały abyśmy go dopatrzeć mogli, uczeni tylko przez szkła powiększające czyli przez mikroskop rozpatrują go

i opisują nam w książkach. W szklance, co mówię, w kropli wody roi się od małych stworzonek rozmaitego kształtu, a cóż się dzieje w każdym stawie lub sadzawce? Powietrze jest również przepełnione żyjątkami; gdy promienie słońca wpadają przez okno do izby, widzimy w powietrzu masę ruszających się pyłków, większość z nich są to zwierzątka.

I pomyśleć, że tu, w około nas walczą one o byt, o życie, każde bowiem pragnie żyć, choćby kosztem drugich, odbywają się boje, okrucieństwa, cierpią jedni, zwyciężają drudzy, a my nic o tem nie wiemy! A nawet za każdym poruszeniem, na każdym kroku sami sprowadzamy cierpienia i śmierć, gniotąc, dusząc, gotując miliony tych jestestw żywych.

Zaczęliśmy przyglądać się niewidzialnemu światu, rozpostartemu u stóp naszych i nad głowami naszemi.

Podnieśmy oczy w górę, a ujrzymy inny jeszcze świat równie dla nas niedostępny, ale ten znów dlatego, że jest za wielki!

Widzimy nad sobą słońce, w nocy księżyc i gwiazdy. Są one od nas tak daleko, że podobnej przestrzeni wyobrazić sobie nawet nie można. Wyliczono, że gdyby między słońcem a ziemią była kolej żelazna i pociąg pędził dniem i nocą, doleciałby tam za 460 lat!

Każda rzecz z daleka wydaje się nam mniejszą, n. p. oddalający się człowiek, lub ptak wysoko w powietrzu; jakież więc ogromnie wielkie musi być słońce, jeśli je oglądamy z tak daleka. Uczeni wyliczyli, że jest ono 1,400.000 razy większe od całej naszej kuli ziemskiej.

Składa się ono z rozpalonych gazów, całe jest ognistą masą, która kotłuje i burzy się. Na słońcu podnoszą się takie słupy ognistej masy, i zostają wyrzucone o wiele set mil w powietrze, jest to rodzaj wybuchu wulkanicznego, ale jakiego rozmiaru!

Ale czemże są te niezliczone gwiazdy, które tak cudownie, tak tajemniczo spoglądają na nas w noc jasną. Otóż zaledwie parę z tych planet porusza się podobnie jak ziemia w około słońca, a także i komety, t. j. gwiazdy z długiem, przeźroczystem, jasnem pasmem, czyli tak zwanym ogonem. Zjawiają się one rzadko i zwracają na siebie uwagę swoją niezwykłą postacią. To też ludy ciemne, niewykształcone uważały zjawienie tej komety za wróżbę bied i nieszczęść, ale nic dziwnego, jeśli się czegoś nie rozumie, zawsze przypisuje się mu moc nadzwyczajną, tajemniczą; przecież dzicy ludzie, nie wiedząc co to są pioruny, czcili je jako głos Boga, a słońce i gwiazdy uważali za bóstwa. Teraz zaś i komety i ich istota zostały zbadane i wszyscy wiedzą, że to są zwyczajne ciała niebieskie jak i planety.

Wszystkie zaś inne gwiazdy są to słońca, tylko tak bardzo od nas oddalone, że ogrzewać już nas nie mogą i świecą nam tylko jak malutkie punkciki. Każde takie słońce jest pewno także otoczone planetami, które krążą w około niego. Dla nich gdyby kto stamtąd patrzył i ziemia nasza wydawała by się taką malutką gwiazdką zatraconą wśród niezliczonych innych...

I pomyśleć, że ludzie tak wieki całe patrzą na te gwiazdy i nigdy, nigdy się na nie nie dostaną! Bo oddziela nas przestrzeń pozbawiona powietrza takiego jakim oddychają ludzie i choćby ludzie nauczyli się latać, t. j. wymyślili udoskonalone maszyny do latania, nie mogliby podnieść się poza granice naszej atmosfery, bo nie mieliby czem oddychać.

Gwiazd stałych czyli tych słońc oddalonych naliczono 70.000, a przypuszczają, że wszystkich jest do 500.000 milionów. Najwięcej gwiazd jest w tak zwanej drodze mlecznej, czyli w tym pasie ciągnącym się przez całe niebo a tak pełnym gwiazd, że aż się zlewają ze sobą w błyszczącą masę.

Głowa się może zakręcić od samej myśli, jaka to straszna, zmysłami nieobjęta jest przestrzeń przed nami! A my stoimy wobec niej mali, słabi, ale obdarzeni wzrokiem i rozumem, który nam pozwala wszystko to badać i rozumieć. Dziś już są olbrzymie szkła powiększające czyli teleskopy, przez nie uczeni badają wszystkie ruchy ciał niebieskich i kiedyś dowiemy się od nich jeszcze wielu ciekawych rzeczy. A pragniemy tego wszyscy, bo ubliżającem jest dla godności człowieka patrzeć na coś i nie rozumieć, co to jest! Zwierzęta tylko zadawalniają się tem, co im służy na pokarm lub dla wygody, a człowiek pragnieniem sięgać powinien dalej i wyżej. Na to Bóg dał mu rozum, i wymagać też od niego będzie, aby go zużytkował na rzeczy piękne i wielkie.

LUDU POLSKI!

Było życzenie włościan tarnobrzeskiego powiatu, ażeby wystawić pomnik **Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.** Podpisani więc, chcąc życzenie to urzeczywistnić, zawiązali się w dniu 25 września z. r. w komitet, wybierając przewodniczącym włościanina z Dzikowa, a zastępcą jego mieszczanina z Tarnobrzega:

Bracia! zasłużył Bartosz Głowacki na to, aby mu wznieść pomnik — bo kochał Polskę, niepodległość, wolność, bił się w imię tych haseł najdzielniej pod Racławicami i poległ za nie gdzieś pod Szczekocinami. Z pośród sławnych imion chłopskich, które nam historya nasza przekazała, jego imię jest najgłośniejsze, jest chlubą ludu, narodu. Kościuszko który patrzał na czyny Bartosza Głowackiego, odznaczył go zaszczytnie zaraz po bitwie — a my mielibyśmy nie uczcić pomnikiem tego naszego chłopskiego bohatera, którego sława z biegiem czasu staje się coraz powszechniejszą, większą!

Pomnik ma stanąć w Tarnobrzegu — miejscowość ta dla takiego pomnika bardzo odpowiednia. Tarnobrzeg leży nad Wisłą, nad granicą zaboru rosyjskiego, zaczyna się w nim wytwarzać ognisko duchowego polskiego życia dla szerokich okolic Galicyi i Królestwa polskiego. Skoro w Tarnobrzegu stanie pomnik Bartosza Głowackiego z kosą, będą się przed nim zatrzymywać tysiące i tysiące ludu z Galicyi i Królestwa polskiego, niejeden zamyśli się przed nim, odczuje, że wzniosłą, wielką jest rzeczą myśleć o Ojczyźnie, poświęcać się dla niej.

Bracia! Polska się odradza — staje się silniejszą, bo lud budzi się do życia publicznego, bierze się do obywatelskiej pracy. Zaznaczamy to i w pomnikach, wznosząc je tym, którzy się do tego odrodzenia Polski przyczynili. Wznosimy pomniki wielkiemu Kościuszce, który pierwszy najbardziej ukochał lud i chciał z nim wywalczyć Polskę, zrobić go obywatelem Ojczyzny, wystawmy też pomnik Bartoszowi Głowackiemu, który pod Kościuszką bił się i wsławił.

Niech się przeto posypią składki na pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu. Odzywamy się do całego Ludu polskiego: róbcie groszowe składki na ten pomnik wszędzie, przy każdej sposobności, gdzie się tylko trochę ludu zbierze. Niech żadne chrzciny, żadne wesele, żadna uroczystość na wsi nie przejdzie, aby się coś grosza na ten cel nie zebrało. Nie chodzi o to, aby dawać wiele — ale o to, ażeby każdy dał. Dajcie po groszu, po dwa — ale dajcie wszyscy, ażeby można powiedzieć, że pomnik sławnego chłopa, Bartosza Głowackiego, ze składek całego ludu polskiego powstał. — Odzywamy się do gmin, ażeby wszędzie uchwalały przyczyniać się choćby najskromniejszymi datkami do budowy pomnika Bartosza Głowackiego. Niech przedewszystkiem Radni, jako przedstawiciele woli ludu po gminach okażą, że chcą, aby pomnikiem był uczczony chłop-bohater.

Odzywamy się do Kółek rolniczych; niech i te chłopskie instytucye przyczynią się do wybudowania pomnika bohaterowi w sukmanie.

Zwracamy się wreszcie z tą odezwą do polskiego mieszczaństwa i inteligencyi; złączcie się, — jak już tyle razy łączyliście się — z włościaństwem, w celu wzniesienia pomnika dzielnemu chłopu-patryocie. Ile razy włościanie, mieszczanie i inteligencya idą razem, jako jeden polski lud, zawsze ich usiłowania wieńczy zwycięztwo.

Pieniądze prosimy nadsyłać pod adresem: **Spółkowa Kasa oszczędności i pożyczek w Tarnobrzegu**, gdzie będą oprocentowane, dla zwiększenia dochodu, dopóki się dostateczny nie zbierze. Datki, choćby najmniejsze, z nazwiskami tych, którzy je złożą, szczegółowo będą ogłaszane i zapisywane w pamiątkowej księdze.

Postaramy się, ażeby wszędzie byli delegaci, którzyby za pomocą list składkowych zbierali składki na pomnik. W samym Tarnobrzegu urządzimy szereg odczytów, przedstawień, uroczystości różnych, z których czysty dochód przeznaczony będzie na budowę pomnika.

Dołóżmyż wszyscy starań, ażeby wielki, wspaniały powstał pomnik Bartosza Głowackiego, jak wspaniały będzie naród polski, który z ludu się odradza.

KOMITET: Jan Słomka przewodniczący, Józef Lang, zastępca przewodniczącego, Wojciech Wiącek, sekretarz, Jan Frankiewicz, skarbnik.

CZŁONKOWIE: Jan Kolasiński, Stanisław Stala, Władysław Ossowski, Walery Wryk, Dr. Antoni Surowiecki, Wojciech Słomka, Jan Słomka młodszy, Julian Jasiński, Paweł Miklowski, Paweł Grzywacz, Łukasz Zioło, Wojciech Lang.

Pielęgnowanie końskiego kopyta.

W porze obecnej, a jeszcze więcej nieco później z pozimku, bywają śniegi, roztopy i błota. Kopyta koni narażone bywają wtenczas na niszczący wpływ wody. Niejeden z Szan. Czytelników nie będzie może dowierzał, iż woda wywiera na kopyta wpływ szkodliwy. Tak atoli jest rzeczywiście. Ten, który miał sposobność oglądać kopyta koni, zatrudnionych przy robotach portowych, przy kanałach itp. robotach wodnych — przekonał się zapewne, iż u takich koni przytrafiają się daleko częściej uszkodzenia kopyta, aniżeli u koni, zatrudnionych w gospodarstwie rolnem, na suchych gruntach. Pierwsze konie miewają kopyta szorstkie, popękane, to mniej to więcej uszkodzone.

Rzecz się nam wyjaśni, skoro się dowiemy, iż całe kopyto składa się z samych delikatnych

płytek rogowych, które zespolone ze sobą pewnym rodzajem kleju, tworzą jedną zbitą masę. Klej ten rogowy rozpuszcza się w wodzie. To też w razie dłuższego przebywania koni w wodzie, roztopach lub błotach, zluźniają się poszczególne płytki kopyta (ponieważ klej spajający płytki, się rozpuścił). W razie wstrząśnień kopyta, które są nieuniknione, gdy koń stąpa cwałem po drodze przytwardej, pęka kopyto, tworzą się w niem szparki. Z czasem powiększają się owe rysy, a wierzchnia warstwa kopyta marszczy się. Koń, posiadający tego rodzaju uszkodzone kopyto, znacznie traci na wartości, ba, w wypadkach cięższego uszkodzenia staje się nieużytecznym.

Mając na uwadze słowa, że „bez kopyta nie ma konia“, powinien właściciel konia pilnie doglądać kopyta, zapobiegać uszkodzeniu tegoż. To też zaraz pomówimy o „racyonalnem“ postępowaniu, celem ochrony kopyta przed psuciem. O smarowaniu kopyta wie każdy rolnik-gospodarz. Niejeden czytał o tem lub owem smarowidle do smarowania kopyt, ten znów zna dobrą „receptę“ na przyrządzanie odpowiedniej smary. Lecz to, o co głównie chodzi, to jest prawidłowe wykonanie czynności smarowania tak zw. „impregnowanie“ kopyta, pozostawia zwykle bardzo wiele do życzenia.

Chodzi tutaj o to, aby nie dopuścić wilgoci do wnętrza kopyta, a naturalną wilgoć utrzymać w temże. To też przed nasmarowaniem trzeba kopyto oskrobać i opłukać wodą dokładnie. Kopyto zeschłe, nie oczyszczone, nie może wssać tłuszczu, takowy zostanie na powierzchni, a piasek, ściółka, kurzawa, wytrą wkrótce smarowidło, a róg będzie się psuć mimo smarowania. A zatem powtarzamy, należy przed smarowaniem oczyścić kopyto „z grubego“, następnie wymyć i opłukać. Skoro załatwiono się z ostatnią nogą, można pierwszą nasmarować tłuszczem dokładnie, także podeszwę. Natychmiast po umyciu smarować nie można. Postępując w sposób przepisany, osiągnie się cel zamierzony zupełnie. Smarowidło wsiąknie w róg kopyta, oprócz tego utworzy ono na powierzchni powłokę, która nie przepuści wody z zewnątrz i zapobieży wyparowywaniu naturalnej wilgoci z masy rogowej.

Czynność podobna nie wymaga wiele czasu, najwyżej 8 do 10 minut, które doprawdy warto poświęcić, skoro w ten sposób przedłużyć można użyteczność konia o kilka lat. Tylne kopyta cierpią od gnojówki najwięcej. Najlepszym środkiem przeciw gniciu strzałki i rozmiękczeniu kopyt, jest regularne smarowanie takowych od czasu do czasu odpowiednim tłuszczem.

Dobrem smarowidłem jest czysty, nie zepsuty smalec, do którego dobrze jest dodać, mianowicie w zimie, nieco terpentyny i wosku. Tak np. bierze się na 10 części tłuszczu 2 części terpentyny i 1 część wosku; wazelina jest także dobrym tłuszczem na kopyta, i do niej dołączyć można te same domieszki.

Jeżeli koń posiada skłonność do gnicia strzałki, zaleca się posmarować podeszwę, mianowicie szczelinę strzałkową, ciepłą smołą drzewną; wprzód atoli wymyć dobrze strzałkę i nasmarować tłuszczem.

ROZMAITOŚCI.

Tę modlitwę i litanię, którą na początku tego numeru podałyśmy, napisał Adam Mickiewicz podczas tułaczki zagranicą i dla tego nazwał ją „modlitwą pielgrzymską“ i „litanią pielgrzymską“. Prześliczny ten utwór Mickiewicza bardzo mało jest znany. Jak ta modlitwa była mu pociechą w tułaczce, tak też i nam w naszej niedoli w chwilach ciężkiego prześladowania i pracy ku odrodzeniu naszej ukochanej Ojczyzny, powinna dodawać otuchy i wiary w lepszą przyszłość.

Nowa Września. S i e d l c e. W sobotę d. 8 lutego rano między 8 a 9 godziną, miała być w klasie 7-mej lekcya religii w gimnazyum męskiem w języku rosyjskim. Klasa 7-ma mieści się na 1 piętrze. Uczniowie wszystkich klas zaczęli się zbierać na górze. Inspektor stanął na schodach i nie puszczał na górę. Zachowywał się wyzywająco. Przewrócono go. Zgromadzono się na górze. Zażądano wykładu religii po polsku. Wybito szyby w gimnazyum. Podarto na kawałki katechizmy i podręczniki rosyjskie do wykładu religii. Od dyrektora żądano wykładu religii w języku polskim, powołując się na ogólny przepis dla wszystkich gimnazyów w Królestwie. Po odmowie dyrektora znów zaczęto wyrzucać moskiewskie katechizmy i drzeć je w kawałki. Dyrektor został uderzony książką w głowę. Po uspokojeniu zajścia lekcye odbywały się w całem gimnazyum, z wyjątkiem klasy 7, z powodu silnego wzburzenia i wybicia wszystkich szyb w tej klasie.

W mieście ogromne wzburzenie. Żandarmerya i policya uruchomione. Władze odniosły się do kuratora okręgu i do ministeryum.

Z a m o ś ć. We czwartek w miejscowem progimnazyum czteroklasowem, klasy 3 i 4 zażądały od księdza wykładu religii po polsku. Wykłady religii przerwane.

Jak się dowiadujemy z listów otrzymanych, w Wilnie i Białej podlaskiej panuje między młodzieżą szkolną wielkie wzburzenie. Uczniowie Polacy nie chcą uczęszczać na wykłady religii w języku rosyjskim.

W Królestwie wykład religii katolickiej po rosyjsku odbywa się w gimnazyach w Białej, Siedlcach, w Chełmie, w Maryampolu i zdaje się w Suwałkach oraz w progimnazyach w Zamościu i Hrubieszowie. W „kraju zabranym“ t. j. na Litwie i Rusi, religia jest wykładana wszędzie po rosyjsku.

W Cieszanowie Wielkiem odbył się bardzo piękny wieczorek staraniem Zarządu i członków Kółka rolniczego w pięknie udekorowanej sali; odegrano patryotyczną sztukę p t. „Chrzest Litwy“, a odegrali ją sami włościanie. Za prawdziwie piękną i dobrze pojętą grę należy im się podziękowanie. Życzyć należy, aby więcej znaleźli oni naśladowców w tej szlachetnej bardzo a użytecznej i pouczającej zabawie. Kierownikom zaś tego wieczoru szczere uznanie wyrażamy za piękną myśl urządzania wieczorów takich.

Zima w Hiszpanii. Już wiele dni leży Madryt pod grubą warstwą śniegu; termometr spadł znacznie. Komunikacya na ulicach wadliwa. Tramwaje nie mogą się ruszyć ze swych wozowni. Koła dorożek popychają przed sobą masy śniegowe, grzęznąc w nich. Konie się przewracają, przechodnie, których przyzwyczajenie lub potrzeba wyprowadziła na ulicę, dążą czemprędzej do domów. A w domu? W madryckich domach piece należą do zbytku. Przez wielkie drzwi balkonowe wychodzące na ulice, źle przystające i niezaopatrzone, wciska się bezlitośnie do mieszkań wiatr lodowaty. Podłogi układane są po większej części z polerowanych płyt kamiennych, które podczas upałów letnich mają bardzo dobre zastosowanie; zimą jednak przy tegorocznym mrozie zdają się być lodem pokryte. W domach zamożniejszych nakrywane są one miękiemi kobiercami, w uboższych matami lub wreszcie słomą. U najbiedniejszych jednak przy tegorocznym mrozie jest straszna nędza, głód i mróz składają śmierci liczne ofiary. Śmiertelność stolicy hiszpańskiej, która i w zwykłych warunkach jest większą, niż innych stolic europejskich, obecnie wzniosła się do przerażających rozmiarów, tak, iż urzędnicy cmentarni i grabarze nie mogą swej smutnej pracy nadążyć. W Madrycie ludność bezdomna liczy 10.000 ludzi, którzy przyzwyczajeni są mieszkać całe życie na ulicy, i umierać w końcu na ulicy, o których nikt, nawet policya porządku miejskiego lub obyczajów nie troszczy się. Ponieważ przytułki noclegowe są bardzo nieliczne, wolni ci obywatele przepędzają noce na pustych placach budowlanych, skwerach i kryjówkach. Ażeby choć cokolwiek ulżyć ich strasznej nędzy, miasto postanowiło w końcu na różnych placach poustawiać piece gazowe i ogrzewać je przez całe noce aż do późnego ranka.

Związek dla komunikacyi bez kurzu w Kalifornii w Ameryce, umie utrzymywać drogi bez kurzu w czystości.

Przez długie lata wyrzucano mnóstwo pieniędzy na studnie, pompy i wodociągi, służące do skrapiania, przyszedł okres ogromnej posuchy i komisya komunikacyi ogłosiła, że skrapiać będzie ropą z terenu, który obfituje w olej skalny. W lecie 1898 rozpoczęto próby te, a w 1900, skrapiano olejem specyalnemi machinami *De-Campe* 80 kilometrów dróg. Na milę drogi zużywano początkowo 60 beczek (beczka = 170 litrów), później tylko 40 beczek. Beczka kosztowała 1·10 — 1·25 dolarów; roczny wydatek na milę tego rodzaju doskonałej czystości drogi wynosił 150 dolarów. Olej surowy, lub też odpadki po destylacyi nafty znakomicie łączą się z kurzem ulicznym i tworzy warstwę sprężystą nie kruszącą się. Ludność Kalifornii jest pełną uznania dla tego systemu.

Nasze drogi są, jak wiadomo, niewyczerpanemi kopalniami błota i pokładami prochu, kurzu, zależnie od pory roku; czyżby nie można i u nas używać nafty?

Śmierc z poparzenia. W Wysocku, służąca u p. Oktawa Sali, posła na Sejm krajowy, 20-letnia Malicka, zbliżywszy się nieostrożnie do pieca, stanęła cała w płomieniach. Mimo, że natychmiast pospieszono jej z pomocą, odniosła poparzenia na całem ciele. Przeniesiono ją do szpitala powszechnego, ale mimo wysiłków lekarzy, wyzionęła niebawem ducha.

Towarzystwo hodowli drobiu urządza we Lwowie w Zielone Święta w sali muzycznej na placu powystawowym wystawę drobiu, gołębi i królików.

Katastrofa w Gniewinie, w Czechach. Dnia 15 stycznia w samo południe, gdy większa ilość robotników była zajęta w kopalni, ogromne masy wody przerwały ściany szybu „Jupiter“ i zalały go niemal w jednej chwili. Z 116 robotników, zajętych w szybie, brakuje 44, między nimi także dwu kierowników kopalni, inżynierów Bindera i Seemana. Gwałtowny zalew uniemożliwiał wszelką akcyę ratunkową. Przez trzy dni dostęp do szybu z powodu wysokiego stanu wody był niemożliwy. Podobno już od pewnego czasu zdarzały się niepokojące objawy, tak, że obawiano się zalewu kopalni i przedsięwzięto nawet środki ochronne, aby zapobiedz katastrofie. Widocznie jednak ukryte masy wody były bliżej i wywierały większy nacisk, niż się spodziewano. Stąd też wynikło, że nieszczęście wydarzyło się właśnie wtedy, kiedy go się jeszcze nie spodziewano. Katastrofa nastąpiła niezmiernie szybko. Kiedy dano znak alarmowy, inżynier Binder natychmiast pospieszył do szybu i z narażeniem własnego życia uratował dziewięciu robotników. Mimo strasznego strachu, udało mu się zaprowadzić pewien porządek w ratunku. Coraz bliżej huczały groźne masy wody, a do kosza windy zaczęło się pchać tylu ludzi, że

nie mógłby znieść takiego ciężaru. Binder rozkazał najpierw wyjechać z szybu oddziałowi, złożonemu z 9 ludzi. Sam pozostał w szybie, aby uspakajać obecnych swych przykładem i oświadczył, że dopiero jako ostatni opuści kopalnię. Zaledwie jednak wyratowano nowy oddział z 9 ludzi, wyłącznie ojców rodzin, woda zalała pozostałych w szybie. Dyrektor kopalni Vessely, który pospieszył do kopalni za Binderem, nie mógł się już wpuścić do szybu. Zginęło w szybie 44 robotników. Jako przyczynę katastrofy, podają obecną łagodną zimę i wysoki stan rzeki Biały. Inżynier Binder ożenił się dopiero niedawno; także kilku robotników nieszczęśliwych pozostawiło żony i dzieci.

Podpuszczka do serów. Podpuszczka jestto pierwszy żołądek cielęcia, które jeszcze nic nie jadło tylko żyło mlekiem. Przyrządza się w następujący sposób: Oczyszczony i lekko opłukany żołądek nasolić dobrze i zostawić w soli przez trzy dni, potem wyjąć, lekko opłukać, zawiesić i ususzyć zupełnie. Ususzone żołądki bardzo długo przechować się dadzą w czystości i suchości nawet do dwóch lat, a biorąc do użycia namoczyć w kwaśnej serwatce i po 24 godzinach użyć tę serwatkę wlewając ją przecedzoną do mleka, które się w kilka minut zwarzy. Jeden żołądek wystarczy do zwarzenia 12 garncy mleka. Gdy kto robi z mniejszej ilości mleka, nie bierze się całego żołądka.

Sér na sposób szwajcarski. Parę garncy mleka niezbieranego przecedzić i zagrzać lekko, wlać do niego serwatkę odcedzoną z podpuszczki i zostawić w spokoju; skoro się zetnie, wtedy przekroić łyżką na krzyż dla łatwiejszego oddzielania się serwatki, a później wyłożyć na rzadkie, grube i mocne płótno, poruszając, żeby serwatka odciekała i skupiać coraz więcej twaróg do siebie. Gdy twaróg zaokrągli się w kształt bryły, wtedy zawinąć go w sam środek płótna, uważając, aby fałdy płótna wciskając się w środek twarogu nie robiły szpar w nim, które się potem zacisnąć nie dadzą. Jedna osoba powinna ująć silnie płótno w miejscu gdzie ończy zawinięta bryła twarogu, druga niech dłońmi wyciska ze wszystkich boków bryłę, żeby z niej wychodziła serwatka, należy unikać przyciskania palcami twarogu, żeby nie robić w nim dziur. Gdy już serwatka przestanie się wydzielać, wtedy wyjąć twaróg, włożyć ostrożnie w okrągłą formę, którą można zrobić ze starego nie smolnego sitka, przyłożyć denkiem i przycisnąć małym z początku kamykiem potem ciężar powiększyć, po 24 i więcej godzinach wyjąć i nasolić po wszystkich stronach i solenie powtarzać trzy razy na tydzień. Potem obsuszać w przewiewnym miejscu, można na polu byle nie w dużem słońcu, a w domu nie blisko pieca bo popęka. Po obsuszeniu owinąć ser w płótno umaczane w piwie i kilka razy to powtórzyć. Bardzo dobry ser.

Fr. Wodzinowska.

Selery na jarzynę. Główki selerów od korzeni oddzielić, obrać czysto, wypłókać, pokrajać w talarki i warzyć w cokolwiek solonej wodzie na miękko. Potem zaprawić gęstą zasmażką wcisnąć cytryny, posiekanej pietruszki i postawić na kilka minut na gorące miejsce. Podać z ziemniakami lub chlebem.



PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Szan. Jontkowi w odpowiedzi donosimy, że wierszyki przesłane w przyszłym numerze *Przodownicy* zamieścimy.

Szan. Czytelniczka M. Puzia niechaj w reklamacyi, której się nieopłaca, napisze jakich numerów *Przodownicy* z roku zeszłego nie otrzymała.

Szan. J. Sieroń prenumeratę może przesłać znaczkami pocztowymi lub przekazem.

Szan. Maciej Bułka może zareklamować jakich numerów mu brakuje z r. 1901.

Szan. Hal. donosimy, że wkrótce drukować będziemy historyę z życia Świętych.

Szan. J. Drabskiemu przesłałyśmy dwa numera okazowe *Przodownicy*, zarazem donosimy, że do każdego numeru będą dodawane obrazki, które potem Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy będą mogli sobie oprawiać.

Administracya *Przodownicy* przypomina tym Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy w roku zeszłym prenumeraty nie przesłali a gazetkę pobierali, by zechcieli należytość za nią Administracyi przesłać.

Tym zaś, którzy nietylko gazetkę sumiennie opłacają, ale ją swym krewnym, sąsiadom polecają, jako pisemko „bardzo miłe, użyteczne, pouczające i piękne“ przesyła Redakcya serdeczne „Bóg zapłać“. Kto zaś w tym lub drugim miesiącu nie jest w stanie prenumeraty zapłacić, Administracya chętnie poczeka miesiąc, dwa i trzy, a nawet cztery, bo wie, że nie zawsze jest grosz pod ręką do zapłacenia należytości i nie może mieć żalu za tę zwłokę. Jeszcze raz prosząc, by Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy zechcieli reklamować te numera, które zaginą na pocztach, przesyła Wam najdroższe Siostry i Bracia serdeczne pozdrowienie. *Administracya.*

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 2 „Przodownicy“ z r. 1902.

Po niewczasie.

(Obrazek wiejski.)

Nie wiodło się jakoś Marcinowej na jarmarku; chciała kupić krowę dobrze i tanio; „spekulowała“, jak mówili kumoszki, a oto już trzeci raz chodziła na jarmark do Skawiny, zmitrężyła za każdym razem po całym dniu i bez niczego wracała do chałupy.

— Chyba nie chcecie krowy kupić, ino tak udajecie — mówiła kuma Wojciechowa do Marcinowej, gdy za powrotem z jarmarku spotkały się na drodze.

— Ale! nie chciałabym! Toli ot pieniądze na krowę są! — odparła Marcinowa i pokazała kumie, zawiniętę we węzełku.

— A dużo tego? — spytała kuma.

— Miałam sześćdziesiąt papierków, ale rozeszło się pięć, bo to zawdy na jarmarku tak; to się człowiek spotka z tym i owym i trza wtedy co wypić; a do chałupy z próżnym koszyczkiem wstyd wrócić, bo dzieci dopominają się choćby o piernika....

Ej, Marcinowo! — upominała kuma — będziecie darmo czas mitrężyli, tracili pieniądze i nic nie „wyspekulujecie“. Krowę trza kupić od pierwszego razu, inaczej to papierki rozlecą się na wszystkie strony, bo ich w chałupie nie utrzymacie...

— Moja kumoszko! — przerwała Marcinowa, — wy wiecie jedno, a ja wiem drugie!... Po nagłości nic nie zrobię, bo u mnie taka natura, ze musę kalkulować, az cosik przecie wyspekuluję. O frasunek zaś nie trudno. Oho! Ale nie mnie łapać na plewy!... Myślicie że to tak łatwo krowę kupić, zeby się złe nie przyplątało? Ot i na to mówiący, dzisiaj!... Już targowałam krowę, brakowało mi ino trzech papirków; ale Walek Tomaszów, ze to mój rodny, pozycył mi papirki. Idziemy dobić. Krowa udała mi się, poznałam, ze to nie z byle jakiego chowu. Walek domawia, zeby kupić. Kładę Walkowi pieniądze na rękę, zeby rachował, a jo pedom do chłopa, co u niego krowę kupowałam: — A kaj'z snurek? Przeciek bez snurka krowy nie kupie. — A on się uśmiecho i pedo, ze snurka nie do. Jakiś ty mądry? myślę... Oho! Pokożę ci, ze jo mądrzejso!... Toli wiem, ze jak bez powrózka krowę kupię to ona jakby nie moją była! Niby u mnie w stajni zostanie i chować ją trza bedzie i dać jej źreć, a mleko pońdzie het nazad do tego, co snurek wzion. Nie wiem to ze tak? Toli to samo wydarzyło się u wójciny łońskiego roku. Nie głupiam! Nie chcieli dać powrózka, tak myślę, krowy nie kupię. Mignęłam na Walka, biorę mu z garści pieniądze, chowom do chustki i buch za gorset, — To nie kupicie? — pyto chłop. — A nie kupię! — odkrzyknęłam. Walek mignął ku mnie, jo na Walka; parobek morowy łeb mo, zaroz wykalkulowoł o co rzec idzie i odeśliśmy w inną stronę. Chciałam gdzieindziej targować, a Walek peda: — Kiej się wom dziś nie darzy, to szkoda targować. — Posłuchałam go i nie kupiłam krowy.

Kuma słuchała opowiadania Marcinowej kiwając głową.

— Zabobony to i tyle! — rzekła.

Na to Marcinowa jak nie zacznie wymyślać na „mędrkowanie“ kumy, tak i nie przestała językiem pytlować aż rozstały się przed figurą Matki Boskiej, skąd w przeciwne rozeszły się strony.

— A ot mi książkowy rozum! — mruczała Marcinowa, idąc już sama ku swojej chałupie.

Nie mogła tego darować Wojciechowej, że ta nazwała zabobonem to, co było dotychczas przeświadczeniem każdej we wsi gospodyni.

— Mom swój rozum — myśli Marcinowa w dalszym ciągu. — Co bym to za gospodynią była, zeby kupić krowę bez powrózka. Pieniądze nie uciekną. Za dwa tygodnie znowu jarmark; może lepiej utrafię.

Im bliżej była chałupy, tem usilniej zbierała w myśli wszelkie dowody na potwierdzenie tego, że przecież miała słuszność, nie kupując dzisiaj krowy.

Przed zagrodą stał Marcin i wyczekiwał swojej baby z jarmarku; gdy zobaczył, że powraca bez krowy, zaklął w złości i pięścią pogroził w jej stronę.

— Idzies juz! — wołał. — No, chwała Bogu, ze idzies! A nie oberwałaś się powietrzem, co go dźwigosz?..,

Marcinowa poprawiła chustkę na plecach i zwolniła kroku. Szła prosto, drobne stawiając kroki i wyginając się w biodrach, by chłop dojrzał, że „swarną“ ma babę. Wiedziała, że go tem „za serce uchwyci“ i on wysapawszy złość, nic złego jej nie powie.

— Czemu-żeś znowu krowy nie kupiła? — krzyknął Marcin, gdy podeszła bliżej.

Marcinowa na to nic, tylko wyjęła z koszyka flaszkę z likierem i, podawając ją mężowi pod sam nos, rzekła:

— A neści, nie złość się i dej gębusi.

Zbliżyła twarz ku jego twarzy i objęła go za szyję.

Chłop chciał się szarpnąć, ale go kobieta zmogła; pocałował ją i tylko jeszcze dla ratowania mężowskiej powagi, burknął:

— Ej Baśka! bo ty chyba nijakiego rozumu ni mosz, skoro jednę krowinę juz bez trzeci jarmark kupujes, a kupić nie możes!

— Iii... nie godoj, kiej nie wies! — zawołała. — Do chałupy pójdź, to ci wszyćko opowiem.

Weszli do chałupy. Marcinowa wyjęła z koszyka obwarzanki i już od progu poczęła niemi obdzielać dzieci. Najmłodsze w kołysce uśmiechnęło się do niej, gdy mu wetknęła w rączkę obwarzanek; średnie wzięło piernika i zapomniawszy nawet podziękować, wpakowało go do ust, nie troszcząc się zresztą o nic. Za to najstarsza dziewczynka, może siedmioletnia, gdy matka weszła do izby, spytała, nie patrząc nawet na obwarzanki i pierniki:

— Matusiu, a kaj-ź krowa?

— Nie kupiłam!

— Nie?...

I dziewczyna rozpłakała się nagle.

— Cegóz becys, co? — wołała Marcinowa. — Jakze mogłam krowę kupić, kiedy mi ją dawali bez powrózka? Sczęście, ze się w czas zmiarkowałam i schowałam pieniądze. Chciałabyś to, zeby wziąć krowę bez snurka?...

— A nie! — odparła dziewczyna — i dobrze-ście zrobili. Bez snurka krowy brać nie trza; toli i jobym nie brała.

Przestała płakać, a matka chwyciła ją w ramiona i całowała ją serdecznie.

— A to rak mądry! — wołała. — ledwie to od ziemi odrosło, a jużby się oszukać nie dało. —

Marcin zły był na żonę, że krowy nie kupiła, ale ustąpił wobec tego, co słyszał.

— Baśka nie głupia i wi co robi, — pomyślał, kosztując likieru, jaki mu z miasteczka przyniosła.

— Mosz wszyćkie pieniądze? — spytał, gdy poszła do komory przewdziać spódnice.

Marcinową jakby kto w tej chwili dźgnął nożem w plecy; uchyliła się i głową przypadła do skrzyni.

— Są pieniądze — rzekła cicho.

Drżała na całem ciele ze strachu, żeby mąż nie wszedł w tej chwili i nie kazał sobie pokazać pieniędzy.

Ale właśnie zapłakało dziecko w kołysce, Marcin począł je huśtać, Baśka tymczasem przewdziała „inne szmaty“ i wróciła do izby.

— Schowałaś pieniądze? — spytał Marcin, gdy stanęła przy kołysce.

— Schowałam — odparła, biorąc dziecko na rękę.

— A przeliczyłaś?...

— Iii! Wydziwios, jakbym nigdy jesce tyle pieniędzy nie widziała!..

— Bo tak trza dla akuratności.

— Juz ty mnie ucyć nie potrzebujes, jak hań pisorz gminny Jacenty, matkę swoją ucy, ze az z tego ucenio przemądrzała...

— Wojciechowo?... A z nią znowu co?...

— A coby!... Z książek i gazet rozumu bierze!

— Brołbym i jo, gdyby casu starcyło na cytanie...

— Dołabym jo ci cytać!... A w gruncie kto by za ciebie robił?...

— A ty! Nie chodziłabyś wtedy po jarmarkach! — odciął się Marcin.

— Iii... Nie gderoj, bo taki dokucny się zrobis, co na ciebie patrzeć nie bede mogła.

Jęła potem opowiadać mężowi o spotkaniu z Wojciechową i jak to kuma wyśmiewała ją za to, że w gusła wierzy.

Marcin głową kręcił; nie umiał rzec, po czyjej stronie słuszność; dziewczynka słuchała uważnie, w końcu zawołała:

— Matusiu! waszo prawda! Bez snurka nie trza krowy kupić, bo by mleka nie dawała!

Marcinowa pogłaskała córkę po głowie, złożyła najmłodsze dziecko w kołysce i poszła uwarzyć wieczerzę.

Marcin wyszedł narżnąć sieczki dla konia. Przechodząc koło stajni, spojrzał w tamtą stronę i westchnął.

— Stałaby tam już druga krowa — pomyślał — a tak co?.. Pieniądze martwe w skrzyni leżą i nijakiego z nich pożytku. Głupia baba i tyla!...

Zły, chciał zawrócić do izby i poturbować kobietę, ale się pomiarkował.

— Przecie nie tako głupio, skoro oszukać się nia dała — pomyślał znowu. — Inna wzięłaby krowę bez snurka i byłoby nieszczęście, bo cóż z krowy, kiej mleka nie daje?...

Marcin wierzył w rozum swojej Baśki i miłował ją szczerze. Dobry był z niego chłop, ale głupi. Gdyby miał rozum, nie pobłażałby żonie, bo sam swoją pobłażliwością to wskórał, że kobieta zbytnio ufała swemu krótkiemu rozumowi i bardzo często oboje źle na tem wychodzili.

Na drugi dzień po jarmarku przyszedł brat, żeby mu pożyczyć piątkę; nie było można odmówić, skoro ten wiedział, że krowa nie kupiona i są pieniądze w skrzyni. Obiecywał, że do jarmarku odda, więc Marcinowa pożyczyła mu piątkę i dopiero kiedy na jarmark trzeba było iść, wyznała mężowi. że z wszystkich pieniędzy została jej tylko pięćdziesiątka.

Marcin z początku klął straszliwie, ale Baśka poczęła mu tłomaczyć:

— Dziś jesce kupię krowę, zobaczys! Bier pieniądze i idź do wójta. Chrzestny on naszej Antoszki to i serce dlo nos mieć musi. Pokoż mu piniądze i powiedz, że chcemy krowę kupić, ino nam brakuje dziesiątki. Sumituj się, ze u ludzi momy odebrać piniądze i ze ciele sprzedom ino się jesce trochę podchowo, zeby więcej za nie dostać...

— Ciele na podatki — przerwał Marcin.

— Ano, na podatki; ale ty mów, co ci każę. Wójt pożycy. Idź!..

Marcin nie miał wielkiej ochoty iść do wójta „na pożyczkę“, ale Baśka nie ustąpiła, więc poszedł. Marcinowa wróciła do komory, żeby się ustroić na jarmark.

— Zeby ta nie wiedzieć co, dzisiok jesce krowę kupię — mówiła do siebie, zawiązując chustkę przed lusterkiem.

Ubrała się, minął kwandrans, a Marcin nie wracał. Zaniepokoiło ją to, więc wybiegła na gościniec i nuż wyglądać chłopa z powrotem.

Tak minął drugi kwandrans. Gościńcem sunęli ludzie na jarmark, jechały wozy, rozbrzmiewała rozmowa pieszych, a słońce całą tarczą wyjrzało na świat, przypominając, że już czas najwyższy, żeby ruszyć w drogę. Marcinowa patrzyła chwilę w stronę słońca i niecierpliwość jej zwiększyła się jeszcze.

— Idziecie na jarmark? — pytano Marcinową.

— Toli idę, ino na mojego czekom — odpowiadała.

— Ale nie przychodźcie już bez krowy! — upominali ci, co wiedzieli, że już trzy razy chodziła na jarmark i krowy nie kupiła.

— Jak mnie to obśmiwają! — myśli Marcinowa. — Niechta! Zeby nie wiedzieć co, póde dziś na jarmark.

Sprzykrzyło się jej stać na gościńcu, a i wstyd ją było ludzkiej ciekawości i ludzkich drwin. Wróciła do izby i chwyciła się pierwszej lepszej roboty.

(Dokończenie nastąpi.)

Kilka rad

co do pielęgnowania przedwcześnie urodzonych dzieci w pierwszych miesiącach życia.

(Dokończenie.)

Dobrze jest mieć w domu ciepłomierz do mierzenia ciepła kąpieli, albowiem nawet doświadczona kobieta nie jest w stanie zmierzyć ciepłoty wody ręką, gdyż skóra na ręce dorosłego człowieka jest mniej czuła na ciepło i zimno, niż skóra dziecka, i to, co dla osoby dorosłej jest ciepłem, dla dziecka może być już gorącem, to, co nam się wydaje letniem, dla dziecka jest już zimnem. Dla dzieci, zwłaszcza zaś dla słabych dzieci, kąpiel za ciepła lub za zimna może sprowadzić natychmiastową chorobę i zgubę, gdyż w pierwszej dziecko bardzo słabnie, w drugiej zaś odrazu się zaziębia. A trzeba tu mieć ciągle na myśli, że takie maleństwo lada rzecz może zabić.

Kąpiel powinna trwać króciutko. należy też pilnie zważać, aby drzwi i okna były dobrze pozamykane i aby nikt nie przechodził w pobliżu wanienki, gdyż najmniejszy powiew przy kąpieli sprowadza u niemowlęcia katar i kaszel.

Kąpać dziecko należy codziennie przynajmniej do pół roku. Jest to niezbędnym warunkiem czystości, bez której najzdrowsze dziecko marnieje. Ważną rzeczą jest także, aby zaraz po jedzeniu dziecka nie kąpać, gdyż to może wywołać u niego gwałtowne boleści.

Niezmiernie ważną dla matek jest umiejętność radzenia sobie we wszelkich przypadłościach niemowląt, które zazwyczaj łatwo się dadzą usunąć. Przedewszystkiem należy nam pomówić o słabościach żołądkowych, które najczęściej nawiedzają dzieci.

Jeśli widzimy, że dziecko pomimo nasycenia się i świeżych pieluszek krzyczy bez przerwy, że kurczy nóżki i wygina się w powiciu, wtedy najpierwsze przypuszczenie jest, że ma boleści. Najlepszym sposobem na uspokojenie dziecka jest znany powszechnie, prosty i tani środek, tak zwany koper włoski. Małą szczyptę tego kopru, nie więcej, jak kilka ziarnek, należy wrzucić do pół szklanki gotującej się wody i poczekawszy chwileczkę, aż woda przybierze jasną barwę słomy, koper odcedzić i dać dziecku trzy lub cztery łyżeczki; naraz więcej dawać nie można, gdyż jest to środek silnie rozgrzewający i użyty w nadmiarze, mógłby raczej zaszkodzić niż pomódz. Dobrze jest przytem brzuszek natrzeć de-

likatnie ciepłą oliwą i owiązać pieluszką. Najczęściej oba te środki, razem użyte, bardzo prędko dziecku przywracają zdrowie, jeśli zaś przy boleściach występuje rozwolnienie, należy tę czynność powtórzyć dwa lub trzy razy w ciągu pół dnia, a to z pewnością poskutkuje. Jeśli dziecko przy boleściach ma zaparcie stolca, należy wtedy dać mu na przeczyszczenie, lub jeszcze lepiej, użyć lewatywki.

Przy zwykłych słabościach żołądka wystarczają zupełnie powyżej podane środki, szczególniej natarcie brzuszka oliwą zawsze dziecku ulgę przynosi. Co innego, jeśli do boleści przyczynia się gorączka lub długotrwałe zaburzenia żołądkowe. Wtedy należy natychmiast poradzić się doktora, którego pomoc w takich razach jest niezbędna.

U dzieci przedwcześnie urodzonych występują inne jeszcze przypadłości, których uniknąć nie można, bo wynikają ze słabości dziecka. Do takich należy częste dławienie się niemowląt, pochodzące z nagromadzonych w brzuszku dziecka gazów, tak zwanych pospolicie „wiatrów“; wiatry także, podnosząc się w górę, zapierają dziecku oddech, tak, że dziecko sinieje i przez chwilkę wygląda tak, jakby się dusiło. Doświadczenie jednak wskazuje, że nie jest to tak niebezpieczne, jak się na pozór przedstawia, zwykle bowiem po małej chwilce przechodzi, pozostawiając tylko u dziecka silne osłabienie i rozdrażnienie. W takich razach należy, nie tracąc przytomności, spokojnie i bez krzyku dziecko przechylić główką na dół, aby gazy znów poszły w górę, a więc tym razem w stronę brzuszka, i delikatnie a dość silnie pocierać plecki, szczególniej w okolicy krzyża. Dobrze jest też trzepnąć parę razy lekko po karczku i delikatnie wstrząsnąć ciałkiem, gdyż to przywraca dziecku oddech. Gorzej jest, jeśli dziecko zadławi się mlekiem lub śliną; wtedy należy dziecku unieść główkę w górę i przeczekać napad spokojnie, gdyż każde silniejsze wstrząśnienie mogłoby mu bardzo zaszkodzić. Ponieważ takie wypadki zdarzają się i we śnie, przeto dobrze jest dziecko układać na bok, gdyż w takiem położeniu zakrztuszenie się nie jest szkodliwe.

Wypadki takie powtarzają się dość często w przeciągu pierwszych dwóch lub trzech miesięcy, poczem przechodzą, pozostawiając tylko skłonność do czkawki i do lekkiego krztuszenia się.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednym objawie, zachodzącym dość często u dzieci niedonoszonych. Spostrzegamy mianowicie nieraz, że u parotygodniowego maleństwa pępek, zamiast być jak zwyczajnie wklęsłym, wychodzi w górę i tworzy jakby małą wypukłość. Jeśli pępek delikatnie wgnieciemy palcem w środek, poczujemy pod skórą niewielki otwór, w który wpychają się kiszeczki dziecka. Otwór ten zwykle zarasta częścią przed przyjściem dziecka na świat, częścią w czasie usychania pępowiny. Jednakże u dziecka urodzonego przedwcześnie jest on jeszcze tak duży, że nie prędko może się zasklepić. Jeśli natychmiast zabierzemy się do leczenia, to po miesiącu, dwóch lub trzech najwyżej pępek przyjdzie do właściwego stanu. W przeciwnym razie będzie to trwało miesiące i lata całe, i może wreszcie doprowadzić do ciężkiej choroby.

Sposób na zaradzenie temu jest prosty. — Gładki i płaski guzik, wielkości korony obszywa się kawałkiem waty, lub miękkiego płatka; następnie przyszywa się go na środku powijaka, jakiego zwykle się używa do owijania pępka w pierwszych dniach życia dziecka. Kiedy to jest gotowe, należy bardzo delikatnie wgnieść pępek wielkim palcem w otwór i wsunąć zręcznie pod guzik, tak, aby pępek nie mógł wychodzić w górę. Przytrzymawszy guzik z wierzchu ręką tak, aby nie zmienił położenia, owija się brzuszek powijakiem i związuje tasiemkami, uważając jednak, aby brzuszka nadmiernie nie ścisnąć. Parę razy na dzień trzeba sprawdzać, czy pasek się nie obsunął. Jeśli się będzie tego troskliwie doglądało, to możemy być pewni, że złe rychło minie.

Dla dziecka nieczasowego najniebezpieczniejszymi są pierwsze trzy miesiące życia. Jeśli te przejdą szczęśliwie, bez innych przypadłości niż te, o których wspomnieliśmy tutaj, jeśli jeszcze matka posiada dobry i obfity pokarm, wtedy może już być spokojną o życie swego maleństwa.

Tylko nie tracić odwagi, nie cofać się przed trudami, nie żałować długich dni i nocy, spędzonych nad kołyską dziecięcia, wykonywać z uwagą przepisy, odnoszące się do zachowania jego zdrowia i w każdy czyn wkładać gorące pragnienie, aby to słabe biedactwo mogło wyróść z czasem na dzielnego mężczyznę, czy dzielną kobietę, a wtedy wszystkie przeciwieństwa odbiją się od tej silnej miłości matczynej i życie ogrzeje drobne członeczki maleństwa, wlewając w nie moc i zdrowie.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.